140

NDER JUNOSZA-GAŁECKI

OSKARŻAM!..

POWIEŚĆ

LONDYN ++ 1941

wypoz. 152

ALEKSANDER JUNOSZA-GAŁECKI

140

OSKARŻAM!..

POWIEŚĆ

Londyn
15/II.41.
Autor

LONDYN - 1941

1398305

BIBLIOTEKA
UNIWERSYTECKA
w Toruniu

MATCE MOJEJ
POŚWIĘCAM
Autor.

Słońce leniwie przetaczało swój złocisty krąg po bezmiarze horyzontu. Ciemne, bezkształtne masy bloków mieszkalnych powoli wyłaniały się z szarości jesiennego poranka. Niewiadomo dlaczego ani jedna chmurka nie przecinała błękitu nieba.

Była godzina 5 rano.

Po ulicach Warszawy snuły się sylwetki przechodniów. Jedni nieco chwiejnym krokiem, powoli, coś medytując, szukali z uporem maniaka bram swoich domostw, co o takiej porze i w takich okolicznościach jest niezwykle trudne, inni-a raczej inne z nieniknącym uśmiechem na karminowanych wargach przechadzały się w wiadomym i zupełnie określonym celu, sycąc powietrze ulic dławiącym zapachem mdłych perfum.

Antoni Bąk — woźnica pojazdu ciężarowego — z filozoficznym spokojem cmokał na kasztanka zaprzężonego do wielkiego wozu pełnego świeżego pieczywa. Popędzał konia jak codzień, jak zwykle-a dziś może się bardziej niecierpliwił, bo mu ta cała "cholerna" robota jakoś nie szła. Już po 5-tej a on dopiero na Marszałkowskiej! A jeszcze Plac Zbawiciela i Aleje Ujazdowskie i sklep "Powsin" i "Jadwisia" i "M. Nizio" i "Rogal" i . . . ooo! możnaby tak wyliczać do zakichanej śmierci wszystkie sklepy przed którymi trzeba stanąć, wyładować "kazjerki," "paryskie," "razowy" i "przenny," zamienić parę mniej lub więcej uprzejmych słów z właścicielami sklepików i wrócić do "szefa" przed południem.

— Jadź, jadź stary — upomniał Bąk kasztanka i wyrzucił z pogardą pustego "szczeniaka," mrucząc z zadowoleniem:..

— Niech ciecie zbierają.

Butelka przecięta granatową plamą etykiety upadła z głuchym łoskotem na lśniącą powierzchnię asfaltu i rozsiadła się kawałkami szkła wokół krat rynsztoka.

Bąk pojechał dalej. Jego żółty wóz z napisem: "Nowa Piekarnia" potoczył się między dwoma chodnikami ulicy Marszałkowskiej.

Nikt z przechodniów nie zwrócił najmniejszej uwagi na sześć małych, srebrno-białych punktów, co, jak ruchome gwiazdy zgaszone jasnością poranka zjawiły się na błękitnej tafli niebios. Najprzód słońce spojrzało na intruzów złocistym snopem promieni i objęło ich w swoje przejasne ramiona. Potem zbudzone syreny załkały przejmującym głosem co brzmi jak płacz matki schylonej nad kołyską chorego dziecka. A potem . . . potem ludność Warszawy zdziwiona alarmem lotniczym o tak wczesnej porze schowała się do bram i prowizorycznych schronów.

Bąk zatkał uszy, splunął trzykrotnie, zaklął siarczyście i zatrzymał wóz. Wyprzągł konia, obrócił go tak, że ogon znalazł się tam gdzie był przedtem łeb (w myśl przepisów policyjnych!) i stanął w pierwszej z brzegu bramie:

— Exersajsy urządzają psiekrwie w te pore jak ja z pieczywem po mieście zapycham. —

— A jakże! łatki druciane! — ktoś z tłumu podchwycił.

— Ooo!! widzieliście go jaki mądry — odpowiedziała otyła jejmość dzierżąc kosz różnobarwnego kwiecia.

— Patrz panna w te róże i niuchaj chieliotropa, a nie mięszaj sie w rozmowe towarzyskie — rzucił Bąk z najwyższą pogardą w głosie.

— No! No! — oburzyła się jejmość — tylko nie "panna" i nie "chieliotropa," — łachudro alkoholowy!

Bąk niewątpliwie miał przygotowaną dłuższą i bardziej wyczerpującą odpowiedź ale jakiś "facet w sztywniaku" w te ozwał się słowa:

. .— Panie kierowca ciężarówki jednokonnej, nie mów pan więcej z tą daną kwiaciarą bo to dla pana i dyshonor i nieprzemierzając o pańskie familje zahacza.

— Żebym cię nie zahaczyła o dolne szczękie i prawego trzonowego nie wyjęła—zareplikowała natychmiast "kwia—ciara."

Niewiadomo dokładnie na czymby się zakończyła owa dość ożywiona dyskusja, gdyby nie wzrastający na sile warkot samolotów, jakieś dziwnie potężne detonacje i odgłos karabinów maszynowych.

Tłum ucichł. Wszyscy słuchali zdziwieni. Koło bramy

przesunęła się zastraszona postać kobieca i rzuciła zebranym niesamowite słowo: "W o j n a"!

Rezolutny Bąk, pan w "sztywniaku" i jejmość z kwiatami wysunęli się nieco przed bramę i spojrzeli w niebo.

Polskie maszyny pościgowe odpierały pierwszy atak niemieckich bombowców na Warszawę.

Bąk podrapał się za uchem a gruba jejmość przycisnęła do olbrzymiego biustu kwiaty przepięknej barwy. Z jej oczu popłynęły łzy i kapały na płatki róż, raniąc ich niezkazitelną urodę dowodem bólu i cierpienia w chwili, kiedy germańska zaraza pluła jadem i ohydą na serce Polski.

Alarm odwołany! . . . Syreny zawyły inaczej niż zwykle. Zawyły głosem bardziej przenikliwym, bardziej żałosnym, bardziej przeciągłym.

Bąk szturchnął w bok kwiaciarkę:

— Siadaj matka na pojazd, podwieze do chałupy bo może twoje szczeniaki płaczą, abo . . .

Urwał i poszedł zaprzęgać konia.

Z tłumów, które zaległy natychmiast ulice, z rozmów i dyskusji słowo w o j n a rozchodziło się szerokiem echem, nabierało coraz istotniejszego znaczenia, stawiając społeczeństwo polskie wobec nowego biegu zdarzeń.

Na murach pojawiły się odezwy władz i afisz, którego tytuł czernił się dużymi literami, tworząc napis: "Mobilizacja."

Przed takim afiszem zatrzymał się pan w "sztywniaku". Przeczytał dokładnie co "stoi" napisane i odszedł wolnym krokiem chmurny i zły:

— Nie biorą mnie, psia krew — wymamrotał pod nosem.

* * * * * *

Cicho, niemal bezszelestnie, przeszła służąca przez długi, dwukrotnie załamany korytarz konfortowego mieszkania i zapukała nieśmiało do drzwi. Nikt nie odpowiedział. Nacisnęła klamkę. Zawiasy o dziwo nie wydały żadnego dźwięku, zapewne respektując zarówno wczesną godzinę poranka jak i dość długą wygodnie ułożoną postać młodego człowieka, rozłożoną beztroskim snem na szerokości nowoczesnego tapczanu.

— Proszę panicza — dotknęła lekko ramię śpiącego.

Z za gmatwaniny kołdry i prześcieradła wysunęła się głowa mężczyzny uwikłana w rozczapirzone blond włosy:

— Co? Już czas do biura? — wypowiedział zaspanym głosem.

— Nie. Dopiero 6-ta. Ale niech panicz będzie łaskaw wstać, bo jest alarm lotniczy.

— Co mnie do diabła obchodzą alarmy — obrócił się na drugi bok.

— Ale to zupełnie inny alarm niż zwykle. Strzelają. Słychać bomby.

Jerzy usiadł na tapczanie:

— Strzelają? — powtórzył ze zdziwieniem jakby nie zdawał sobie sprawy co oznacza to słowo.

W tej chwili dał się słyszeć odgłos silnej detonacji.

Jerzy zapalił papierosa i zamyślił się głęboko.

Gdzieś w pobliskiej części nieba karabin maszynowy wypluł właśnie część swojego ładunku.

— Starsza pani już nie śpi i prosiła żeby panicz przyszedł do stołowego.

— Wstaję. —

Czarnocki — bo takie właśnie nazwisko zdobiło postać młodego człowieka — według wszelkich zasad i reguł wszelakich przesądów, wystawił z pod ciepłej i miękkiej kołdry, najprzód prawą nogę potem do niej dostawił lewą i w taki oto zupełnie prosty sposób znalazł się naprzeciw dużego, w ciężkich ramach zwisającego, lustra. Przeczesał zwichrzoną czuprynę i leniwym ruchem podniósł słuchawkę telefoniczną. Nakręcił zupełnie machinalnie numer, który wprawiał w intensywne dzwonienie aparat, stojący na biurku jednego z gabinetów w ministerstwie spraw wewnętrznych. Właśnie przy tym biurku odbierał codziennie setki telefonów, będąc sekretarzem viceministra.

— Czy Antoni? — Acha! . . . mój Antoni — mówił bardzo powoli — czy . . . czy niema dla mnie nic nowego? . . . Co?! Niemożliwe!! krzyknął — Dziękuję! Niedługo przyjdę!

Kiedy wchodził do salijadalnej, matka jego — pani Anna Czarnocka — piła herbatę. Spojrzała z wyrazem wielkiej miłosci na postać wchodzącego syna:

— Czy będziesz jadł teraz śniadanie? — w głosie jej dzwięczał ton dobroci, łagodności i ukojenia.

— Tak, proszę. — odpowiedział po namyśle.

— Czy coś ci dolega? Jesteś taki smutny?

— Mnie osobiście nie. Ale . . .

Popatrzył niespokojnie na matkę:

. . . Ale . . . biedna ta nasza Polska . . .

— ? ? ? —

— Tak maman. Telefonowałem właśnie do ministerstwa. Powiedział woźny, że jest oficjalny komunikat o najeździe niemieckim na granice naszego państwa.

Pani Czarnocka popatrzyła na syna wzrokiem pełnym zdźwienia. Powieka nad jej prawem okiem zawsze nieco drgająca, zamknęła się a przez policzek przebiegł skurcz nerwów:

— Straszne rzeczy!! Wprost niepojęte!! Jednak wybuchła wojna! Myślałam, że jeszcze w tym roku nie ruszą się Niemcy.

— To długo nie potrwa ta cała zabawa — rzekł tonem uspakajającym — Dzisiaj jest pierwszy wrzesień, w październiku możemy już być w Berlinie.

— Daj Boże! — westchnęła.

— O niewątpliwie — ciągnął pewnym głosem Jerzy — mamy przecież sojusz wojskowy z Francją i Wielką Brytanją, które natychmiast obowiązane są wypowiedzieć wojnę Niemcom i nam udzielić pomocy. Zresztą Polska jest dzisiaj prawdziwie zjednoczona i niewątpliwie bardzo silna. Mamy broń, amunicję, budujemy samoloty. Mam wrażenie, że na wygłodzone i zabiedzone Niemcy posiadamy dość siły. Możliwe braki w uzbrojeniu uzupełnimy znanym powszechnie męstwem Polaków i potęgą naszego ducha bojowego. Ostatecznie cieszę się nawet, że ta wojna nareszcie wybuchła, bo trzeba już raz skończyc z Hitlerem i jego bandą.

Zupełnie słusznie moje dziecko. Stan zadrażnienia jaki istniał między Polską a Niemcami był nie do zniesienia na dłuższą metę.

Jerzy podał matce papierosy:

— Będę miał dzisiaj napewno dużo roboty w ministerstwie. Ta wojna to wielka niespodzianka dla wszystkich.

— Nawet ministrowie nie spodziewali sie ataku Hitlera? — z pewnym zdziwieniem zapytała pani Czarnocka.

— Nikt absolutnie. Mój viceminister, pomimo, że wczoraj był tylko pół godziny w ministerstwie, zdążył powiedzieć, że

sytuacja się wyjaśnia, jest wszystko jak najlepiej i pojechał śpiesznie na jakieś śniadanie. Dzisiaj będzie miał pewno wściekły kaceniamer i zanudzi wszystkich w promieniu pięciu pokoji.

— Nie bardzo rozumiem dlaczego . . .

Dwa szybko po sobie następujące uderzenia bomb zagłuszyły dalsze słowa pani Czarnockiej.

Olbrzymia kamienica, stojąca od wielu lat w jednym i tym samym miejscu, zakołysała się gwałtownie, jakby, mocując się z kimś kto chce ją nagle przesunąć.

— Zupełnie nieźle zaczynają grzmocić — zauważył Jerzy.

— Tak to nie zarty — odpowiedziała pani Czarnocka cicho jakby do siebie.

O godzinie 8-mej rano Jerzy był już najzupełniej ubrany i gotów do wyjścia. Alarm lotniczy odwołały piskliwojękliwe syreny. Na sklepieniach niebieskich nie pozostał ani jeden strzęp nieprzyjacielskiego samolotu, nie zatrzymała się ani jedna kula, nie zawisła ani jedna bomba. Wszystko zgodnie zwaliło się na ziemię, pozostawiając po sobie jeno zapach prochu i dymu, unoszący się w "wyższych sferach" powietrza.

Drzwi od mieszkania państwa Czarnockich zamknęły się bezszelestnie.

— Panicz już wyszedł — służąca zatrzymała się na chwilę przed panią domu.

— Dobrze — brzmiała odpowiedź.

Pani Anna Czarnocka wolnym krokiem przeszła do salonu. Na jej twarzy malował się wyraz powagi i skupienia. Usiadła przed oknem, bezwiednie, może wznosząc oczy ku niebu. Dał się słyszeć szept modlitwy a potem głośniejsze westchnienie :

— Boże daj zwycięstwo Polsce!

* * * * * *

Tego dnia ministerstwo spraw wewnętrznych, jak zresztą wszystkie inne ministerstwa, z prezydium rady ministrów, wodzem naczelnym i panem prezydentem na czele, było zelektryzowane wiadomością o napadzie niemieckim. Samochody ministerjalne, lśniące jak łysiny dostojników, mknęły poprzez zapchane ulice, rozwożąc rozkazy "tajne" czy "poufne" i, uno-

sząc w swych wnętrzach opasłych dygnitarzy i przedstawicieli wszelkiego rodzaju władzy. Telefony chrypły — druty telefoniczne odmawiały posłuszeństwa. Zawsze zielono-szara twarz ministra spraw wewnętrznych zarumieniła się lekko a jego mocno siwawe włosy rozsypały się w stan pewnego nieładu. W tak doniosłej chwili na jego barki spada ciężar utrzymania ładu wewnętrznego w państwie, on dysponuje organizmem społecznym myśli o wszystkich razem i każdym z osobna. Jego myśl odrywa się zdecydowanie od śnieżno-białych płotów i kształtnych klozetów i wybiega na szersze pola działania.

A więc niewątpliwie wojna się zaczęła.

Pierwsza rzecz w takich okolicznościach to zamknięcie ust prasie. Do istniejącej już cenzury, która, mówiąc nawiasem zawsze bardzo sprawnie działała, krając niemiłosiernie wszystkie bardziej prawdomówne artykuły, dodać należy jeszcze paru cenzorów, wpakować każdej redakcji po jednym policjancie (dwuch tylko w razie potrzeby!) no i wtedy można pomyśleć już swobodniej o tym czy? . . . no . . . czy jest wystarczająca ilość benzyny żeby módz swobodnie pełnić odpowiedzielną funkcję na odpowiedzialnym stanowisku.

Jerzy Czarnocki zasiadł przy biurku w chwili, kiedy minister rolnictwa postawiony wstan pracy przez nieprzyzwoicie wczesny alarm lotniczy, usiłował się rozmówić z viceministrem spraw wewnętrznych. Niestety viceminister jeszcze nie przybył i niewiadomo było o której godzinie zjawi się ów dostojnik.

Władca roli i znakomity autor reform rolnych chodził po swoim gabinecie prawdziwie zły. Akurat Niemcom zachciało się atakować wtedy, kiedy on znawca duszy (a może raczej ciała) chłopa polskiego wypocił ze zwoi swojego anemicznego umysłu jeszcze jeden projekt ustawy rolnej, rujnującej już doszczętnie wielką własność ziemską i, dającą znakomite pole do działania (czy też do obsiania) "poczciwym włościanom." To, że właśnie ci "poczciwi włościanie" klęli na czym świat stoi pomysły exstrawaganckiego ministra, tego się absolutnie nie brało pod uwagą — bo ostatecznie kogo to obchodzi "co jakiś tam chłop sobie gada." Minister miał pełne zrozumienie u swoich kolegów po fachu i basta . Prezydent uważał go za mądrego człeka, z łbem na karku i rozmachem iście ministerjalnym. Rozmachiwał się więc jak mógł aby przypodobać się prezydentowi i za jednym

zamachem krajał, ciął, zlepiał, odgradzał, zagradzał posiadłości ziemskie, wyczyniał iście diabelskie sztuczki.

Jerzy należał do tych właścicieli ziemskich, którym wszechpotężny nóż pana ministra okrajał już kilkakrotnie prastare i pięknie zagospodarowane dobra a obecnie wprawnym ruchem ręki wypisał ich nazwy na liście majątków podlegających przymusowej parcelacji. Nic też dziwnego, że Czarnocki nienawidził całą duszą pomysłowego ministra. Niemal od niechcenia udzielił mu odpowiedzi:

— Pan viceminister prawdopodobnie będzie bardzo późno.—

Od chwili wybuchu wojny zaczęła się gonitwa dygnitarzy, wzajemne łapanie się telefoniczne i osobiste. Nie oznacza to bynajmniej aby owi zacni mężowie potracili głowy, bo, pomijając już fakt, iż trudno jest tracić to czego się nie posiada, ale poprostu pewna nerwowość dała się odczuć, prawdopodobnie wynikła z wielkiego przepracowania.

Vicepremier już ósmy raz usiłował nawiązać kontakt z marszałkiem sejmu, ale wszystkie jego wysiłki okazywały się daremne. Zawsze jedna i ta sama odpowiedź:

— Pana marszałka niema. —

Myśl zasłużonego vicepremiera z niepokojem błądziła po C.P.O.-ie, Centralnym Okregu Przemysłowym, sławnym z budowli, fabryk i warsztatów pracy, a zwłaszcza z tak zwanego "trójkąta bezpieczeństwa," który podczas niemieckiego najazdu okazał się najbardziej niebezpiecznym zakątkiem kraju, bo bronionym tylko . . . swoją nazwą.

Należało do dobrego tonu przynajmniej raz zwiedzieć C.O.P. Tymbardziej, że zwiedzali go wszyscy dostojnicy. Zaprawdę uroczy był widok ministra podlewającego nowozasadzone drzewka, lub pana prezydenta w otoczeniu możliwie najliczniejszego domu cywilnego i wojskowego, całującego najstarszą wieśniaczkę z chaty na, której miejscu dymił już obecnie diablo długi komin fabryczny.

Vicepremier nerwowym krokiem przemierzył dywan gabinetu:

— Proszę połączyć z panem premierem. —

Sekretarka spełniła polecenie.

— Nareszcie kogoś zastałem — mówił vicepremier — Panie kolego kochany niech piorun strzeli Niemców za ten kawał, który nam zrobili. No — ale mam nadzieję, że dostaną od

nas porządnie po skórze. Ja się zajmę moim C.O.P.-em, przypuszczam, iż należycie ochronię największe dzieło mojego życia. Co ? ! ! Za godzinę zebranie prezydium ! ? ? Chciałem parę spraw poruszyć — ale w takim razie pogadamy na zebraniu. Cześć ! !

Odłożył słuchawkę i westchnął :

Co za ilość pracy ! ! !

Jerzy ćmił jednego papierosa po drugim. Po paru godzinach pracy i kilkunastu alarmach lotniczych miał szum w głowie i odczuwał zmęczenie. Zegarek tego dnia szedł wolniej niż zwykle. Przez uchylone drzwi od gabinetu ministra dochodziła głośna rozmowa. Wódz naczelny wszystkich sił zbrojnych we własnej osobie siedział w głębokościach klubowego fotela naprzeciw ciekawie słuchającego ministra spraw wewnętrznych i premiera w jednej osobie :

— Wracam od prezydenta — mówił głosem wysoce rozdrażnionym — Niemcy pchają się naprzód. Potrzebuję koniecznie samolotów, broni i amunicji, — wszystkiego brak.

— C.O.P. dostarczy — wtrącił premier.

— C.O.P. ! ? ! — krzyknął wódz — Wiecie kolego co zrobił C.O.P. ? ? ? !

— Co ? ? ?

— Całą broń, którą sfabrykował — sprzedał. Ma tylko bombowce.

— Bombowce ? A to znakomicie.

— Tak bombowce — powtórzył ze wściekłością wódz naczelny — brak im tylko drobnostek : . . . motorów i bomb !

Ostatnie słowa wodza upadły ciężarem ołowia na głowę Jerzego. Przez chwilę zdawało mu się, że jakaś siła wyrwała serce a on zapada się w przepaść

— "Brak drobnostek : motorów i bomb" — powtórzył cichym głosem.

Telefon dzwięczał nieustannie.

— Hallo ! — podniósł słuchawkę — Teraz jest bardzo zajęty.Proszę zadzwonić za pietnaście minut.

Wstał ociężale i podszedł do okna.

Na niebie znowu srebrzyły się śmiercionośne kadłuby germańskich samolotów, przewalały się w głuchym, urywanym warkotem z jednego końca błękitu na drugi, plugawiąc swiętość i czystość polskiego nieba. Białe smugi dymu wikłały się jak

strzępy nici, jak sieć babiego lata zawieszona gdzieś w przestrzeni. Przeciwlotnicze działa posyłały pociski, które jako małe obłoczki jawiły się wokół nieprzyjacielskich samolotów.

— "A nam brak tylko drobnostek: motorów i bomb" — przemknęło przez myśl Jerzemu.

Podszedł do biurka. Zegar wybębnił godzinę trzecią. Do pokoju wpadł zadyszany viceminister:

— Może pan teraz iść panie Czarnocki ale proszę łaskawie przyjść zaraz po obiedzie. Pan rozumie — to wojna! Moc pracy. Premier, wódz naczelny, prezydent — wszyscy pracują.

Viceminister potknął się dwa razy o krzesło, raz o kant biurka i wyszedł.

Czarnocki wbił kapelusz na tył głowy i machinalnie skierował się ku drzwiom. Szedł udurzony słowami naczelnego wodza:

— Jakto? Dlaczego? — powtarzał.

Wojna trwała zaledwie kilkanaście godzin a on już doznał rozczarowania. On był jednym z pierwszych, który musiał zrozumieć, że istnieją braki — braki zasadnicze, że jest coś co może zaważyć na szali zwycięstwa. Usta miał pełne goryczy. Szedł smutny ulicami pełnemi ludzi o płonących oczach i roześmianych obliczach. Wszędzie gwar, wszędzie entuzjam. Ktoś ze znajomych pokiwał do niego zdaleka ręką, a ktoś inny rzucił:

— Do zobaczenia w Berlinie!

Mury kamienic rozkrzyczane jak tłum, pewne siebie, pytały słowami afiszy:

— "Czyś spełnił swój obowiązek"? — "Daj na F.O.N.!" —

lub, patrząc na postawę i siłę polskiego społeczeństwa mowiły:

— "Silni, zwarci, gotowi" —

Czarnocki cicho, jaknajciszej otworzył drzwi i wszedł do mieszkania. Chciał odpocząc w swoim pokoju, ochłonąć z wrażenia. Nieznośny dźwięk słów naczelnego wodza nie opuszczał go ani na chwilę. Słyszał świst kul, warkot motorów, odgłos pękających bomb, widział pożary i łuny, zdawało mu się nawet, że słyszy jęki rannych i płacz dzieci. Aż zacisnął pięści:

— Dlaczego nie wali sie w gruzy Berlin?! — ochrypłym wypowiedział głosem — Dlaczego nie jęczą germańscy zbrodniarze!? Dlaczego???

— Bo brak nam amunicji, sprzętu . . . — odpowiedział niemal szeptem.

Prawie pezwiednie podszedł do biurka. Na zielonej przestrzeni sukna leżała bladoróżowa koperta naznaczona układem liter, których treść:

"J. Wielmożny Pan
Jerzy Czarnocki
w miejscu."

* * * * * *

Szaro-złote pukle włosów ujęte w kształty misternych loków, spływały na ramiona. Duże, błękitne oczy — dziś jakby smutne i niespokojne — patrzyły w kwadraty szyb. Czasami ciężar powiek zakończonych długimi, ciemnemi, rzęsami, przysłaniał widok. Czasami pasma karminowych, szerokich warg łamały się w układy słów, cichych, ledwo dosłyszalnych. Czerwony jedwab szlafroka układał się fałdami na jej pięknych kształtach. Śniade ciało nóg, ubranych w równie szerwone jak szlafrok pantofle, tchnęło pełnią urody i młodości.

Była zła.

Dzień wczorajszy, ostatni z szeregu dni przedwojennych był jednocześnie dziesiątą rocznicą jej ślubu. Dziesięć lat minęło od chwili, kiedy popełniła największe głupstwo swojego życia, wychodząc zamąż za Antoniego Rudnickiego. Ów związek małżeński pozbawiony był podztaw sensu, bo nie został zawarty na zasadzie równowagi uczuć.

Izabella nie kochała nigdy Antoniego.

Rodzice jej rozwiedli się kiedy miała lat dziesięć i do tej chwili pozostawała pod opiekuńczym skrzydłem matki. W osiemnastym roku życia postanowiła zmienić dotychczasowy tryb egzystencji przez założenie własnego domu. W pojęciu "własny dom" rozumiała absolutną swobodę, zaspokojenie pragnień, wymagań oraz zupełne usamodzielnienie się. Zapomniała, że niezbędnym uzupełnieniem pojęcia "własny dom" jest mała drobnostka w postaci osoby męża, który czasami ma coś do powiedzenia co nie zupełnie odpowiada przekonaniom żony. Miodowe tygodnie szybko przekonały Izę, że małżeństwo bez

wzajemnej miłości jest przedsiębiorstwem zgóry skazanem na splajtowanie, przyczem strona zakochana traci więcej od strony niekochającej. Widok Antoniego, pałającego niekłamaną miłością doprowadzał ją do pasji. Unikała go. Starała się jak najmniej z nim rozmawiać. Nie mogła przezwyciężyć w sobie odrazy jaką do niego czuła. Prędko, bo zaledwie w dwa miesiące po ślubie drzwi jej sypialni zamknęły się definitywnie przed osobą męża rozkochanego do szaleństwa. Rospoczął się dramat, jeden z największych jaki egzystować może między dwojgiem ludzi związanych węzłem małżeńskim. Antoni łudził się nieustannie, że Izabella zmieni swoje postępowanie względem niego, a ona w długich, bezsennych nocach, czy też w chwilach głębokiej zadumy, marzyła o kimś kto musi się zjawić i rozpalić ogień wielkiej miłości w jej sercu.

I zjawił się.

Zjawił się tak niespodzianie, jak niespodziewanie zachodzą największe zmiany w życiu — tak raptownie, jak raptowne są wielkie wydarzenia w układzie egzystencji.

Nazywał się Jerzy Czarnocki.

Wyśniony, wymarzony, najdroższy ponad wszystko na świecie, zawładnął niepodzielnie Izą.

Czas dawniej nudny nabrał obecnie sensu i treści. Zdawało się, że już nic nie zdoła stanąć na drodze do ich szczęścia. Ostateczna rozmowa z mężem miała nastąpić wkrótce. Zresztą Antoni zdawał sobie jasno sprawę, że tym razem rozwód jest nieunikniony.

Dzisiaj, jak zwykle — pomimo, iż od wczesnych godzin rannych Niemiec zaatakował Polskę, zionął ogniem, zagładą, mordował, palił i siał zniszczenie — piękna Iza, jakby, niesłysząc odgłosów detonacji, grzechotu karabinow maszynowych i jęku syren, usiadła w oczekiwaniu telefonu od Jerzego.

Czarnocki nie dzwonił.

Na twarzy jej zarysował się wyraz niepokoju i bólu. Podeszła do lustra. Powiał zapach perfum. Wokół niej rozeszło się tchnienie młodości, piękna i czaru. Zwierciadło ujęło w seledynowe ramy niezkazitelne linje jej ciała, zanotowało na swej szklannej powierzchni najdrobniejszy szczegół urody. Słońce rzuciło promienie swiatła i załamało je w fałdach złotych włosów. Chwilę stała bez ruchu:

— Jerzyk! Jerzyk! — szepnęła, niemal płacząc.

Zadzwonił telefon.

Podbiegła do aparatu, chwyciła w białą, długą, wypielęgnowaną rączkę słuchawkę i głosem stęsknionego, rozpieszczonego dziecka powiedziała:

— Hallo! Jestem. —

W jednej chwili twarz jej stała się pochmurna:

— Czego chcesz Antoni? —

— Mam bardzo ważny do ciebie interes — mówił Rudnicki.

— Słucham. —

— Musisz koniecznie jeszcze dzisiaj wyjechać z Warszawy. —

— Oszalałeś!! — krzyknęła.

— Uspokój się dziecko. Nie potrzebujesz się denerwować. Chodzi tu o twoje życie i zdrowie. Przebywanie w Warszawie ze względu na ciągłe ataki niemieckie jest bardzo niebezpieczne. Chcę abyś pojechała na wieś.

— Wykluczone —

— Nie bądź upartą — perswadował łagodnie — po paru dniach, jak się wszystko uspokoji, wrócisz do Warszawy. —

Iza miała łzy w oczach:

— Nie zawracaj głowy głupstwami. —

— To nie są głupstwa. Zresztą — ton jego stał się oschły i surowy — proszę i wymagam abyś spełniła moje życzenie, w przeciwnym razie . . .

Trzask słuchawki telefonicznej przerwał rozmowę.

— "W przeciwnym razie" . . . — powtórzyła Iza i plamy jej błękitnych oczu pociemniały znacznie a czoło przecięły faldy zamyślenia.

Z szuflady małego stolika wyjęła bladoróżowy papier i szybkiemi, nerwowymi ruchami ręki napisała:

— "Najdroższy Jerzyku!!!

"Dzisiejszy dzień okropny. Podły Hitler od rana bombarduje a ty do mnie nie dzwonisz. Umieram z niepokoju. Nadomiar złego Antoni chce żebym zaraz wyjechała z Warszawy. Mówi, że zostawać w mieście jest niebezpiecznie. Nie chcę słyszeć o żadnym wyjeździe. Bez ciebie żyć nie mogę. Zrób coś, ale coś bardzo mądrego. Mam już zupełnie dosyć tej męczarni. Czekam wiadomości, całując cię miljony, miljony razy — zawsze twoja

Iza."

Czarnocki długo stał głęboko zamyślony zanim zauważył

BIBLIOTEKA UNIWERSYTECKA w Toruniu

różową kopertę na biurka. Poznał charakter pisma Izabelli. Uśmiechnął się i kilkakrotnie przeczytał list.

". . . Zrób coś, ale coś bardzo mądrego . . ."

Kochał Izę i prganął jej szczęścia. To co uważał za "bardzo mądre" — to wymagało stanowczo pokoju a nie czasu wojny. Bo jakże rozpocząc sprawę rozwodową w chwili, kiedy wybucha pożoga, sypią się bomby i trwają bitwy?

Jerzy potarł czoło w zakłopotaniu:

— Biedna, kochana Iza . . .

Co począć? Jest jedno wyjście: czekać. Tą decyzję zakomunikował jej przez telefon:

— Poczekamy jeszcze parę dni. Wolałbym abyś została w Warszawie. Może się sytuacja wyjaśni. Zobaczymy się wieczorem o 8-mej w kawiarni. Całuję.

Odłożył słuchawkę.

W tej chwili świst przeszył powietrze, którego skłębione masy wtargnęły przez otwarte okno do pokoju i rzuciły Jerzym o ziemię. Dom oderwany od fundamentów uniósł się wgórę i osiadł na dawnem miejscu. Gdzieś z okolic dachu i wyższych pięter posypały się cegły i kawałki szkła. Czarny dym przysłonił widok. W parę sekund ogniste języki wystrzeliły w niebo, dał się słyszeć trzask płonącego drzewa. Paliła się sąsiednia kamienica.

Jerzy wstał z podłogi. Nie zauważył nawet, że nad nim stoi pani Czarnocka:

— Nic ci się nie stało drogie dziecko? — zapytała niespokojnie.

— Wszystko w porządku — odpowiedział, patrząc na zatroskane oblicze matki.

* * * * * *

Wprawne ręce maszynistek przebiegały nieskończoną ilość razy klawiaturę liter. Czcionki posłuszne woli ludzkiej znaczyły słowa i zdania. Na arkuszu ministerjalnym opatrzonym tytułem: "Nakaz ewakuacji" wpisano nazwisko: Jerzy Czarmocki.

Trzeci września 1939 roku był trzecim dniem najazdu germańskiego na Polskę — a pierwszym wojny europejskiej, —

w tym bowiem dniu Anglja i Francja wypowiedziały się po stronie Rzeczypospolitej.

Entuzjazm Warszawy osiagnął punkt kulminacyjny. Nieprzeliczone rzesze mieszkańców stolicy defilowały przed ambasadami aliantów, wznosząc okrzyki na ich cześć.

Jerzy i Iza z trudem dotarli do kawiarni "Cafe Club," mieszczącej się na Nowym Świecie, naprzeciw placówki Wielkiej Brytanji. Z tarasu kawiarni głowy ludzkie wyglądały jak jedna kołysząca się masa utkana biało-czerwonemi barwami polskich chorągwi. Szły wszystkie stany i wszystkie klasy. "Mokotów" zgodnie maszerował z "Wolą", "Okęcie" z "Powiślem", "Praga" z "Kercelakiem", "Śródmieście" z "Żoliborzem". Szedł Antoni Bąk z kolegami, pan w "sztywniaku" i gruba kwiaciara, szli studenci, uczniowe, dzieci i starzy. Sypały się kwiaty, padały okrzyki:

— Smierć wrogom!! Idziemy na Berlin!! —

Oczy mimowoli spoglądały w niebo skąd nadlecieć miały eskadry samolotów angielsko-francuskich. Niektórzy widzieli już zupełnie dokładnie trójkolorowe barwy na skrzydłach powietrznych ptaków. Niemcy, jakby przerażeni siłą polskiego entuzjazmu zaprzestali na chwilę barbarzyńskich nalotów. Niebo czyste, błękitne, o którego pułap obijały się potężne okrzyki wyrwane z polskich serc, czekało spokojnie na przylot sojuszników.

Iza przycisnęła się mocno do ramienia Jerzego. Drżała:

— Jureczku — zapytała, patrząc na mrowie ludzi — czy taka potęga może przegrać wojnę?

— Nigdy — odpowiedział stanowczo.

— Teraz nie zabraknie nam motorów i bomb — dodał w myśli.

Papier z tytułem: "Nakaz ewakuacji" już czwartego późnym wieczorem znalazł się w mieszkaniu Czarnockiego. Jerzy nie przypuszczał ani na chwilę, że zajdzie potrzeba opuszczenia Warszawy. Pracował jak zwykle cały dzien w ministerstwie. Roboty miał moc. Nic nie wskazywało na to, że mogą zajść jakieś poważniejsze zmiany. Zdziwił go bardzo ów nakaz, a w zdumienie już wprawił odręczny dopisek viceministra: "Dzisiaj w nocy odchodzi pociąg ewakuacyjny ministerstwa. Proszę koniecznie wyjechać. Sytuacja bardzo poważna."

— Co to wszystko znaczy? — zapytał prawie głośno. —

Jakto Anglja i Francja opowiedziały się po naszej stronie a ten bałwan pisze "sytuacja bardzo poważna" ? Nic nie rozumiem — wzruszył ramionami.

Nerwowemi krokami przeszedł kilkakrotnie po pokoju i zapalił papierosa :

— Co robić ? —

Zegar wybębnił dwunastą w nocy. Jego łagodny dźwięk przygłuszył na chwilę grzmot, bomb i odgłos strzałów. Masy żelaza, prochu i dynamitu wstrząsały powietrzem i ziemią, zabijały i kaleczyły. Firanka chybotała się w oknie. Jednej szyby brakowało od ostatniej ekspozji i pożaru w sąsiedniej kamienicy.

— Co robić ? — powtórzył — Wyjechać ? . . . Zostawić matkę ? . . . Izę ? . . . Zostawić je same na pastwę losu ?

— Nie ! ! — zostanę. Zostanę tu ! ! — krzyknął i bezwiednie wskazał palcem na podłogę.

Oczy płonęły dziwnym ogniem a usta załamały się w znak woli. Jego chore serce biło mocno i nierówno.

Przycichła walka w przestworzach. Słychać było jak zegar znaczy minuty.

Jerzy usiadł na tapczanie :

— Zostaję — wypowiedział z ulga.

Już leżal, kiedy telefon zadzwonił.

— Proszę —

— Mówi ministerstwo spraw wewnętrznych —

— Słucham ! Kto przy telefonie ! ? —

— Z polecenia pana ministra. Całe ministerstwo wyjeżdża do Lublina. Pociąg odchodzi o 3-ciej rano, proszę być na dworcu głównym o 2-giej i pół po północy.

— Ja niem mam zamiaru wyjeżdżać. Nie widzę potrzeby — z oburzeniem oświadczył Jerzy.

— To jest tozkaz ministra. —

— Rozkaz ? — zawahał się — rozkaz ? . . .

W pamiętny dzień piątego września stolica Polski miała odmienny niż zwykle wygląd. Miasto ucichło. Po ulicach przechadzali się ludzie, pytając się wzajemnie zdziwionym wzrokiem :

— "Co to" ?—

Twarze przechodniów szare. Wyraz twarzy surowy — wyraz determinacji. Słowa padały rzadko. Milczenie było

wyrazem skupienia. Nad Warszawą zawisły czarne, skłębione chmury niebezpieczeństwa. Syreni Gród, dziś odznaczony krzyżem "Virtuti Militari" ze spokojem gotował się do walki. Krew, którą przelali ci bezimienni obrońcy Warszawy niech spadnie plamą przekleństwa na germanskich barbarzyńców.

Czarnocki musiał wyjechać. Ministerstwo było już spakowane i wywiezione. Chwila pożegnania matki i Izy zbliżała się. Jechał na krótko do Lublina. Pomoc aliantów, która prawdopodobnie już nadeszła przychyli zwycięstwo na stronę Polski. Wtedy powróci i rozpocznie okres szczęśliwego życia.

— Jak pożegnać Izę? — myślał, paląc jednego papierosa po drugim.

O matkę był spokojny. Wprawdzie nie mówił jej jeszcze nic o swoim wyjeździe, ale był pewien, że wiadomość tą przyjmie z rozwagą.

— A Iza? . . .

Postanowił pożegnać się z Iza telefonicznie. Chciał oszczędzić jej i sobie okropnych chwil rozstania.

Do pokoju weszła pani Czarnocka:

— Dlaczego nie przychodzisz na kolację Jureczku? —

Jerzy ocknał się z zadumy:

— Maman. Chciałem właśnie z tobą pomówić.

Popatrzył chwilę uważnie na matkę, Jej oczy mowiły: "wiem wszystko."

Jerzy zmieszał się:

— Wytworzyła się taka sytuacja — ton jego stał sie nieco pewniejszy — że zmuszony jestem przez ministerstwo do wyjazdu z Warszawy.

— Dokąd? —

— Do Lublina. Na parę dni. Wrócę prędko.

Twarz pani Czarnoskiej pobladła bardzo:

— Naturalnie jedź. Tylko pamiętaj, że masz chore serce i źle władasz lewą nogą. Musisz się bardzo oszczędzać.

— Pojadę samochodem —

— Tymbardziej uważaj. O wypadek nietrudno. —

Jerzy spojrzał na zegarek:

— Niedługo muszę odjechać. —

Zupełna cisza zaległa w pokoju. Pani Czarnocka wzrok utkwiła w jakiś kąt pokoju i tylko przyśpieszony oddech znaczył jej zdenerwowanie.

— Uważaj — powiedziała cicho jakby do siebie.

Chciał coś powiedzieć, ale słowa grzęsły mu w gardle.

— Musze jechać! — wypowiedział wkońcu głosem, który tłumaczył, przepraszał — który cierpiał.

Drżącą reką nakręcił numer telefonu:

— Iza — ? . . .

. . . naprawdę dziecinko nie masz powodu denerwować się — łagodnie wyjaśniał — trochę cierpliwości. Wrócę za parę dni i wszystko będzie jaknajlepiej.

— Jerzyk — łkała Izabella — nie mów więcej. Ty sobie nie zdajesz sprawy z tego co będzie. Ja wiem. Czuje to moje serce. Jerzyk! Zapamiętaj moje słowa, my się już nigdy nie zobaczymy. Coś się stanie co nas rozdzieli — może na zawsze. Wiedz . . . wiedz . . . i pamiętaj ukochałam ciebie ponad życie, jesteś treścią mojego życia . . . będę zawsze czekać na ciebie . . . zawsze . . .

— Nie płacz — jąkał się Czarnocki — trzymaj się mocno najdroższa. Pa. Do prędkiego zobaczenia.

Iza usłyszała suchy trzask słuchawki telefonicznej. Spojrzała na swoje ręce przerażonym wzrokiem jakby, nierozumiejąc co się stało. Chciała telefonować. Prosić, zaklinać, błagać: "zostań".

Sufit, podłoga, ściany — wszystko zakręciło się przed jej błędnemi oczyma, gwałtowny oddech niemal ją dławił. Stoczyła się na dywan. Ręce bezwiednie rwały suknię. Usta wykrzywione zygzakiem straszliwego bólu rzucały słowa najgorętszej miłości i wielkiego cierpienia. Czuła instynktownie, że Czarnocki jedzie w daleką podróż. Ochydne, potworne słowo "na zawsze," rozsadzało jej głowę, rwało w strzępy układ roztrzęsionych nerwów. O ściany pokoju obijały się wyrazy pełne rozpaczy i zawiedzionych nadzieji. Ból serca stawał się coraz bardziej nieznośny. Chciała krzyczeć.

— Jerzy! Jerzy! Jerzy! — wyjęczała tylko i zapadła w omdlenie.

W tej samej chwili Czarnocki nachylił się nad ręką matki.

— Niech cię Bóg prowadzi najdroższe dziecko, wracaj zdrów prędko. —

Znak krzyza świętego przeciął powietrze i zawisł nad jego głową.

— Wrócę mamo. —

Drzwi się zamknęły.

Pani Czarnocka stała ze wzrokiem utkwionym w miejscu gdzie przed chwilą stał jej syn. Ręce znaczyły ciągle znaki krzyża. Dwie, duże słone łzy stoczyły się po policzkach najlepszej matki, najukochańszej opiekunki. Stała spokojna jak posąg bólu. Blada, dostojna, zamyślona. Lampa przyczepiona do sufitu rzuciła światło, łamiąc się w odblask aureoli nad jej głową.

Tak wygląda postać świętej.

* * * * * *

Czarnocki prowadził wolno samochód po wyciemnionych ulicach Warszawy. Przejechał Marszałkowską, Królewską, i zatrzymał sie na Placu Piłsudskiego.

Domy stały jak układy ciemnych bloków, jak ponure rzędy starożytnych piramid. Znicz, wiekuisty płomień chwały na grobie Nieznanego Żołnierza, zgasł aby nie ranić swoim swiatłem ciemn ości wojny. Blady blask księżyca przesuwał swoje mdłe macki po tablicach z nazwami bohaterskich walk. Ciszę grobu przerywał jednostajny krok żołnierza, pełniącego wartę. Strzegł brat żywy — umarłego. Strzegł miejsca wiecznego spoczynku tych bezimiennych, którzy właśnie w tej chwili przelewali krew za wolność Ojczyzny. Padali bez życia na postrzępioną wrogim najazdem i skrwawioną przestrzeń Polski.

Cześć im!

Książe Józef Poniatowski, zawsze nieruchomy na piedestale z granitu, ręką zbrojną w miecz, wskazywał drogę: Naprzód.

Samochody obładowane rzeczami przemykały przez krąg placu ciemne i zalęknione.

Jerzy przyglądał się:

— Jadą. Dokąd oni jadą i po co? —

W tej chwili uświadomił sobie fakt, że przecież on także jedzie. Zrobiło mu się głupio:

— Wrócę —

Sięgnął do marynarki po portfel (miał w nim fotografje matki i Izy) i natrafił na jakiś papier. Z trudem odczytał:

"Nakaz ewakuacji." Jeszcze chwila wahania i słowo — rozkaz — zwyciężyło.

Usiadł przy kierownicy.

Wiadukt i most ks. Poniatowskiego ciemne jak cała Warszawa, umocnione potężnemi filarami po obu stronach Wisły, wytrzymywały ciężar przesuwających się pojazdów. Grzbiet mostu wisiał wstążką żelazobetonową nad szumiącą rzeką. Różnorakie domki klubów i przystani osadzone na łodziach przycumowanych do brzegów, chybotały się puste — niezamieszkałe. Transporty złożone z ciężarowych samochodów, wozy naładowane wielkiemu pakami, prywatne limuzyny, dorożki konne, taksówki, rowery i wreszcie tłumy pieszych przesuwały się nieprzerwanym sznurem, kierując się na drogę lubelską.

.. Jechał i Antoni Bąk ze swoją rodziną. Załadował "babę" i dzieciaki do wozu, którym rozwoził pieczywo, zamknął "chałupe" na klucz i pojechał. Tak samo jak jego szef, jak doktór "z pod trzeciego," jak mecenas z parteru, jak hrabina z oficyny. Kasztanek szedł niechętnie, kiwał głową i z zadowoleniem stawał kiedy tego wymagał głos policjanta.

Ludzie porozumiewali się cicho, szeptem jak przystało na uczęstników pogrzebu. Nie wiedzieli jeszcze, że stanowią olbrzymi kondukt, poprzedzany katafalkiem na którego wysokości legła Niepodległość Rzeczypospolitej. Myśleli raczej, że opuszczają Warszawę bo linja frontu przesunie się wzduż Wisły i zgodnie z tradycją "Cudu nad Wisłą" i sławy polskiego oręża, załamią się szeregi wroga nad brzegiem królowej polskich rzek. Teraz zwycięstwo było pewniejsze anizeli w dniu wybuchu wojny, bo teraz armia polska wspierana być musi przze armie i siły aliantów.

Na placyku przed wjazdem do Aleji Grochowskiej stał mały oddziałek żołnierzy dowodzony przez oficera. Major — dowódzca ochrypłym głosem wydawał rozkazy :

— Stać ! Stać ! Psia krew. Nie pchać się ! Droga dla wojska . Potem cywile. Stać mówiłem do cholery. Wszystkie pojazdy ustawić w jeden szereg. Teraz maszeruje wojsko. —

Bąk zatrzymał wóz :

— Pies z niemi tańcował — pomyślał.

A potem jakby wyrwany ze snu, nagłą siłą posąwiony

w stan rzeczywistości, popatrzył ze zdziwieniem na otaczające go tłumy ludzi i pojazdów i wymamrotał pod nosem:

— Po wielkie Anielkie ja zapycham? — Germańskiej zarazy sie boje? A nagła ich śmierć zaleje szwabów, psubratów. —

— Przeprasza, szanownego woźnice towarowej jednokonki — z tłumu wyłoniła się jakaś postać ciemna i chuda.

Bąk zmrużył oczy:

— O wiele sie nie myle, pan w sztywniaku? —

— Faktycznie on — brzmiała odpowiedź.

— Mamy szczęście — splunął Bąk.

— Nie można narzekać. Chciałem zapytać: a szanowny pan też w lubelskie? —

— W jakie? —

— W lubelskie — powtórzył pan w "sztywniaku," dzierżąc w lewej ręce maleńką, obdrapaną walizkę.

— Ja . . . — zamyślił się Bąk — chyba w warszawskie . . .

— Że przepraszam? Nierozumiem. —

— Siadaj pan — wskazał Bąk miejsce koło siebie na koźle — Uważaj pan: ja zrodzony we Warszawie, oblatany na Powiślu, bede na stare lata jechał w cholere? Bede rzucał chałupe, kamratów i bede jechał w pieruny? —

— Niby faktycznie —

— Nie niby tylko absolutnie faktycznie. Uważaj pan co mówię — trącił w kolano pana w "sztywniaku" — ja wracam! Przyjdą germańcy do Warszawy to im kichy psia ich nędza wywleke na światłość dzienną a mordy okaleczę na wiekuiste czasy.

Pan w "sztywniaku" otworzył walizeczkę i błysnął stalą brzytwy:

— Jestem golimordą za pozwoleniem i tym danem narzędziem krew niemiecką takżesamo upuszczę. Wracamy. —

Bąk zawrócił konia.

— Stać do cholery. Mówiłem stać do stu piorunów — krzyknał major.

— Za pozwoleniem szarży, niech się szanowna władza odkleji. Ja wracam skądem przyjechał.

Oficer zaniemówił.

Bąk cmoknał na kasztanka. Pijechali.

Może do dzisiaj jeszcze żyją, a może okryci chwała walecznych śpią snem wiecznym w ogrodach Łazienek Królewskich,

czy w ciszy parku Paderewskiego. Bąk co pieczywo woził i pan w "sztywniaku" co golił. Może . . .

Czarnocki przejechał posterunek majora, wślizgnął się w jakąś maleńką lukę olbrzymiego łańcucha prywatnych aut i posuwał się wolniutko jakby, ociągając się z opuszczeniem stolicy. Tuż za rogatką grochowską nowy komendant skrzyżowania dróg — tym razem w postaci pułkownika — zatrzymał korowód samochodów.

— Wszyscy stają — mówił dość powoli — i przepuszczają broń pancerną. Kto nie posłucha — strzelam. —

Ostatnie słowo wypowiedział głośno i tak groźnie, że wrażliwsi słyszeli już nawet świst kul.

Jerzy zjechał na prawą stronę szosy i wysiadł z samochodu.

Środkiem drogi przetaczały się masywy pancernych jednostek, grzechocząc żelastwem i, zgrzytając łańcuchami. Ciąg tanków i tankietek utkany olbrzymich rozmiarów ciężarówkami, dowodzony małemi, zwrotnemi autami, szedł świadomy swojej siły. Motocykle pykały tu i ówdzie, uwijały się między kolumnami wojsk jak małe czarne, nieznośne muszki.

Głos pułkownika brzmiał nieustannie:

— Wojsko jechać. Nie zatrzymywać się.

— Dadzą szkołę Niemcom — pomyślał Jerzy — Będzie wielka bitwa. Nasi wygrają . . . —

Spojrzał w stronę Warszawy.

Stolica trwała w ciemności. Tylko dwie łuny pożarów wdzierały się krwawym blaskiem w pułap nieba i drgały płomieniami na czarnej przestrzeni horyzontu. Na tym tle kontury miasta zlewały się w jedną plamę murów, ciągnących się na wielkiej przestrzeni.

Długo — chyba bardzo długo, Czarnocki tkwił w bezruchu zapatrzony w masywy Warszawy. Z zadumy wyrwał go głos pułkownika:

— Cywile odjazd. —

Samochody ruszyły.

* * * * * *

Pas szosy lubelskiej utkany gęsto pojazdami biegł wśród

różnorakich odcinków pól, zakręcał, wił się aby za chwilę wpaść w prostą linję gościńca, czy też przejść przez punkt rozdroża. Zamaskowane samochody zgniłozieloną barwą farby lub gałęźmi drzew, w półblasku wschodzącego słońca wyglądały jak żółwie przykucnięte na krawędzi ziemi.

Po dwunastogodzinnej jeździe Czarnocki przebył około siedemdziesieciu kilometrów i znalazł się tuż koło Ryczyńca — pięknej posiadłości ziemskiej — własności jego dobrych znajomych. Zarówno zmęczenie jak i bliskość poranka — pory uprzywiljowanej przez niemieckich lotników i specjalnie wybranej do ostrzeliwania z karabinów maszynowych bezbronnej ludności — skłoniły Jerzego do skręcenia na prywatną drogę Ryczyńca wiodącą wprost do starego pałacu. Minął zaledwie parę przydrożnych kamieni, będących metrowym pomiarem przestrzeni, gdy z za kępy zieleni wyskoczyło dwuch młodych podoficerów lotników z okrzykiem: "stój"!

Zgrzytnęły hamulce. Maszyna stanęła.

Jerzy wychylił głowę, witając z dość przyjaznym uśmiechem groźnie wyglądających sierżantów. Tego rodzaju przeszkody w jeździe nie sprawiały już na nim większego wrażenia, powtarzało się to bowiem systematycznie co parę kilometrów. Przy tej okazji powstawał zator niesamowity, zaczynało się sprawdzanie papierów poczem wszyscy jechali dalej, zarówno ci, z "nakazami", ze "specjalnemi rozkazami" jak i ci, którzy nie mieli żadnych urzędowych dokumentów. Czarnocki chciał coć powiedzieć ale sierżant, wyglądający na starszego wiekiem uprzedził go:

— Bez gadania. Droga zamknięta. Zawracać. —

— Jadę do moich znajomych. — wyjaśnił spokojnie — To jest droga prywatna. —

— Powiedziałem zawracać! — krzyknął sierżant.

Jerzy poczuł jak krew w obfitych i gorących falach uderza mu do głowy. Opanował się szybko:

— Proszę zrozumieć, że panowie i ja znajdujemy sie w tej chwili na gruntach państwa Żebrowskich i, że ja jako ich dobry znajomy chcę ich odwiedzieć, będąc obecnie w drodze do Lublina . . . —

Sierżant usiłował przerwać:

— To wszystko nic nie znaczy —

— Chwileczkę, jeszcze nie skończyłem — ciągnął Jerzy —

pozatym należę do ministerstwa spraw wewnętrznych, oto moja legitymacja.

Napis: "sekretarz viceministra spraw wewnętrznych" zrobił pewne wrażenie na srogim sierżancie. Surowy wyraz jego oblicza przeszedł szybko parę faz i wreszcie z momentu pewnego zakłopotania wszedł w uśmiech zadowolenia i uprzejmości:

— Antek — zwrócił się do swojego kolegi — biegaj szybko do dworu i zapytaj czy można pana wpuścić. —

Antek wrócił po paru minutach, zasalutował i oznajmił:

— Wjazd wolny. —

Stare kasztany kiwały się w dwuch równych rzędach nad aleją parku. Zdawały się nie zwracać najmniejszej uwagi na lufy karabinów maszynowych ukrytych w gąszczu przyziemnych krzewów, ani też na żołnierzy przechadzających się pod cieniem ich rozłożystych gałęzi. Ptactwo obojętnie przyjęło pojawienie się wielkich i przedziwnych aparatów podsłuchowych natomiast z dużym zadowoleniem powitało sieć drutów, która zawisła jak misternie utkana pajęczyna nad wierzchołkami drzew. Darninę i klomby kwiatów — kolczastych róż i bezkolcych bratków — przecięły zygzaki głębokich rowów, a zasieki z drutów utworzyły szpalery ostre i niebezpieczne. Czarnocki przejeżdzał ów prastary park — miejsce jego częstych wycieczek — nabierając świadomości, że znajduje się na jakiejś linji frontu. Mijał własnie wielki gąszcz, w którym zdawało mu się, że dostrzegł barwy polskie malowane na jakichś przedmiotach dobrze ukrytych w gmatwaninie liści.

Przed pałacem powitała go pani Żebrowska:

— Cieszę się niezmiernie z pańskiego przyjazdu panie Jurku i przepraszam bardzo za trudnoości jakie pana spotkały przy wjeździe do nas ale — tu zniżyła głos — jesteśmy teraz lotniskiem, fortecą wszystkiem tylko nie dworem. Proszę do salonu. —

Drobna, siwa postać pani Żebrowskiej podreptała naprzód. Minęli hall, z którego ścian wyrastały załamania jelenich rogów i patrzyły ponure łby dzików. Pani Żebrowska zamknęła drzwi od salonu z wyrazem ulgi i zadowolenia:

— Proszę siadać —

Opuszczone rolety w oknach przepuszczały jedynie strzępy światła wschodzącego dnia. Duże, czarne portrety, zwisające

w ciężkich złocistych ramach tworzyły prawdziwą galerję wielu szkół i mistrzów świata w sztuce malarskiej.

Jerzy zapalił papierosa:

— Ciężkie czasy. Musiałem wyjechać z Warszawy. Jadę z moim ministerstwem.

— Ewakuowane? — ze zdziwieniem zapytała pani Żebrowska.

— Tak — pokiwał głową — Warszawa prawie pusta.

— Okropne rzeczy — ciągnęła złamanym głosem — U nas od trzech dni mieszkają lotnicy. Po zupełnym zbombardowaniu Dęblina część lotników przeniosła się tutaj. Mamy trzydziestu oficerów, dużą ilość żołnierzy i rozmaite aparaty. Samolotów jest tylko jedenaście, wszystkie bardzo stare, tak zwane szkolne. Stoją zamaskowane w parku.

— A gdzie reszta szkoły lotniczej? —

— Porozmieszczali się po sąsiednich majątkach. Siedzą biedacy i czekają na nowe bombowce. Mowią, że są obecnie bezbronni.

Słowa naczelnego wodza z nową siłą zabrzmiały w uszach Jerzego . . . "a nam brak motorów i bomb . . ."

— Na jakie bombowce oni czekają? — zapytał rozdrażnionym głosem.

Pani Żebrowska wzruszyła ramionami:

— Zdaje się, że na francuskie. Powiadają, że pomoc nadejdzie lada chwila —

— Aliantów? —

— Tak. Podobno już posiłki są w drodze. Narazie kryją się tutaj biedacy jak mogą bo szpiegów moc. Jak ich tu znajdą to oczywiście bomby nas nie miną. Nie wiem czy co zostanie z nas i Ryczyńca . . .

W wielkim salonie, pamiętajacym wiele pokoleń rodu Żebrowskich, zaległa cisza. Na zmęczonej twarzy pani Żebrowskiej pojawił się wyraz cierpienia a z pod powiek ciężko opadłych spłynęły łzy. Zbroje rycerzy, stojące w dwu kątach komnaty prężyły swoje stalowe pancerze okryte chwałą walk zwycięskich, pewne swej siły.

— Czyżby niemieckie bomby miały zniszczyć i ten wyraz polskiego męstwa? — zamyślił się Jerzy.

— A jak zdrowie pańskiej matki? — odezwała się pani Żebrowska, zmieniając temat rozmowy.

— Dziękuję dość dobrze. Zostawiłem biedną zupełnie samą — zrobił ruch ręką jakby się tłumaczył — Trudno musiałem.

— Wszyscy jadą. Ja się stąd nie ruszę. Moi synowie gdzieś na froncie. Nie miałam od nich żadnej wiadomości. —

— Teraz trudno o komunikację — wtrącił Jerzy.

— Zwłaszcza o komunikację z pod niemieckich bomb.

Pani Żebrowska wstała :

— Zostawiam pan teraz panie Jurku samego. Muszę pomyśleć o obiedzie dla moich oficerów. Proszę się przespać tutaj na kanapie. Obudzę pana jak będzie trzeba —

— Dziękuję serdecznie. Rzeczywiście jestem bardzo zmęczony. —

Drobna postać pani Żebrowskiej przygnieciona ciężarem ostatnich wypadków przeinaczyła się w ledwo dostrzegalny cień człowieka. Niemal bezszelestnie przeszła przez miękki dywan salonu i zniknęła za drzwiami.

Jerzy wyciągnął całą długość swojej postaci na białym pokrowcu, oparł głowę o krynolinę zalotnej damy wyhaftowanej na żółtym tle poduszki i zapadł w sen głęboki. Zbudził go krzyk jakiegoś oficera, który usiłował zatrzymać jago samochód po raz setny. Zerwał się z kanapy, jakby chcąc przeprowadzić rozmowę w tonie ostrym i zdenerwowanym i ze zdziwieniem skonstatował, iż snajduje się w salonie, zegar właśnie bije dwunastą godzinę zapewne w południe — niema w pobliżu żadnego wojskowego, natomiast jakiś pocułowaty cywil siedzi zupełnie spokojnie w fotelu i ćmi papierosa. Cywil łypnął maleńkiemi punkcikami oczu dobrze ukrytymi w fałdach tłuszczu i, ukazując w uśmiechu zanikotyzowane zęby, przemówił :

— Jak się masz Jerzy ? —

Czarnocki napół śpiący pokiwał głową :

— Bardzo przepraszam niezupełnie sobie przypominam z kim mam przyjemność. —

— To, że sobie nie zdajesz sprawy co się z tobą dzieje, to mnie absolutnie nie dziwi. Nieraz już widziałem ciebie w takim stanie — zaśmiał się głośno cywil.

— Coś sobie przypominam — bąkał Czarnocki.

— "Coś" — lepiej niż nic. Ale w tym wypadku nie "coś", tylko ktoś. Do usług wielmożnego pana — skłonił się nieznajomy — nazywam się Stefan Wierzbicki. —

— Aaaa ! ! ! Stefan ! — krzyknął Jerzy — Niech cię diabli. Nie poznałem. Zmieniłeś się trochę. Utyłeś. Parę lat nie widzieliśmy się.

— Tak, tak — pokiwał głową Wierzbicki — Ładnych parę lat. Zmieniają się czasy i ludzie . Dożyliśmy ładnej chwili. Niech szlak trafi Niemców. —

— Czy jesteś tak jak ja w drodze do Lublina ? —

— Jadę z Bankiem Rolnym z Łodzi. Zajechałem do Ryczyńca żeby parę godzin odpocząć. Właściwie najchętniejbym został tutaj i wrócił do Łodzi. Już w Warszawie chciałem zostać, ale kazano jechać. Narazie do Lublina. —

— Moje ministerstwo spraw wewnętrznych też jedzie — westchnął Jerzy.

— Jedziemy wszyscy. Ale to beznadziejna podróż — machnął ręką Wierzbicki.

— Dlaczego beznadziejna ? —

Wierzbicki począł przechadzać się szybkiemi krokami po miękkim i ogromnym kwadracie dywanu z opuszczoną nieco głową, gładząc w pewnych odstępach czasu swoje ciemno-blond włosy. Stąpał ciężko, wprawiając w oburzenie podłogę, która dudniła głośnym protestem. Robił wrażenie człowieka chronicznie zastraszonego. Zresztą, jak go sobie teraz Czarnocki przypominał, mało się zmienił od czasów szkolnych. Zawsze był dość tęgi, ociężały, przechodził jaknabliżej ścian i siedział na ostatniej ławce w najciemniejszym kącie klasy. Twarz jego ziemnisto-szara o kształcie mocno zbliżonym do koła, przecięta dwoma pasmami szerokich warg tuż pod małym, zadartym nosem, miała wygląd dziecięcy, który od szeregu lat nie zmieniał się zupełnie. Zatrzymał się na chwilę ciężko dysząc :

— Pytasz dlaczego nasza podróż jest beznadziejna ? Odpowiedź prosta : beznadziejna, bo bezcelowa. —

— Jedziemy do Lublina —

— Jedziemy w nieznane. To jest dopiero początek wojny. Zobaczysz co będzie za parę dni. —

— Co ?

— Trupy, krew, zgliszcza . . . —

— Przesadzasz mój drogi — skrzywił się Jerzy. — Nie walczymy saim, mamy sprzymierzeńców. —

— Sprzymierzeńcy ? — Zaśmiał się Wierzbicki — Gdzie my a gdzie oni ? Którędy do nas dojdą ? —

— Powietrzem —

— Nieuleczalny optymisto — pokiwał smutnie głową Stefan — Nasze powietrze zatruwają germańscy najeźdcy, sieją zniszczenie i śmierć. A to jest dopiero początek. —

— A jakiż będzie koniec? — ironicznie zapytał Jerzy.

— My zwyciężymy — to jest pewne. Ale przedtem Polska dotkliwie będzie zniszczona, krew strumieniami popłynie, pożary strawią nasze dobra, matki nasze wypłaczą swoje oczy. Ty sobie nie zdajesz sprawy co potrafi niemiecka przemoc. Jeżeli już dziś, w parę dni po rozpoczęciu wojny, germańscy piraci bombardują otwarte miasta, sieką z karabinów maszynowych cywilów, kobiety i dzieci, zabijają chłopów, pracujących na roli. niszczą nasze wsie; to jest pewne, że w dalszym ciągu walk nie cofną się przed niczem. Użyją gazów, rozsieją, zarazy aby tylko zniszczyć, zgnębić Polaków.

Jerzy posmutniał wyraźnie. Słowa Wierzbickiego padały jak głazy, świszczały jak bomby, wyły złowieszczo.

Dziś po drogach i szosach walają się kadłuby ludzkie lepkie od krzepnącej krwi — ciągnął Wierzbicki — leżą trupy obok zabitych koni i zdechłych psów, leżą nieznane, porzucone, koszmarne. A to jest, powtarzam dopiero początek.

— Żeby zwyciężyć trzeba ponieść jakieś ofiary — usiłował tłumaczyć Czarnocki.

— Zgadzam sie zupełnie. Trzeba. Ale myślę, że nim nadejdzie upragniona chwila zwycięstwa biedna Polska poniesie ogromne ofiary. W tej wojnie wyraźnie czegoś nam brak. —

— Amunicji, samolotów — rzucił Jerzy.

— Nietylko. Jeszcze nam brak organizacji. —

— Może masz rację. Jednego czego nam nie brak napewno, to męstwa i odwagi. —

— O tak! —

Wierzbicki chodził po salonie coraz prędzej, niemal biegał. Sapał przytem okrutnie, bo jego serce, cierpiące na ciężką wadę nie mogło nadążyć za tempem w jakim chciał obnosić swoją niewielką postać starannie otoczoną tłuszczem. Zatrzymał się na chwilę przed zieloną plamą małej, szklannej popielnicy aby niedopałek "płaskiego" zamienić na nowy papieros, zaciągnął się mocno dymem i utkwił maleńkie oczy w Jerzego:

— Ja w każdym razie dalej nie jadę. Jutro wracam do Łodzi. Mój Bank pojechał podobno do Lublina. Nie widzę

potrzeby za nim jechać. W tej podróży oprócz tego, że zostawiłem mieszkanie i wszystkie moje sprawy w Łodzi, z trzech walizek, które zabrałem zgubiłem już dwie. Została mnie tylko jedna i to najmniejsza. —

Czarnocki mimowoli usmiechnął się:

— Nic się nie zmieniłeś. W szkole gubiłeś ksiżąki i pióra, a teraz gubisz walizki. —

— Zresztą to głupstwo. —

Wierzbicki pokręcił się jeszcze chwilę po salonie, obejrzał parę antycznych drobiazgów i wyszedł, tlumacząc się koniecznością odetchnięcia świerzem powietrzem w parku. Zapomniał papierosy, zapałki i kraciastą chustkę, która przykucnęła w kącie rozłożystego fotela.

Do obiadu przy stole zalamanym w formę podkowy, zasiadło oprócz pani Żebrowskiej, jej trzech sióstr, Czarnockiego i Wierzbickiego, trzydziestu młodych oficerów lotników. Rozmowa wiła się wśród zawiłych zagadniem nowoczesnej wojny. Roztrząsano przebieg operacji na frontach, gubiono się w domysłach i dociekaniach dalszego rozwoju działan wojennych i na jedno godzono się bezapelacyjnie: na zwycięstwo Polski.

Wierzbicki pomrukiwał czasami pod nosem urywane słowa, jadł dość łapczywie, kilkakrotnie maczając widelec w zupie zamiast łyżki.

Jerzy siedział obok porucznika, którego znał dobrze z Warszawy.

— Czy myśli pan porucznik, że bombowce na które czekacie nadejdą prędko? —

— O niewątpliwie — uśmiechnął się oficer. — Mam wrażenie, że to kwestja już nawet nie dni ale godzin. Nasi sprzymierzeńcy wysłali już pierwsze transporty.

— Którędy? — rzucił Wierzbicki.

— To trudno powiedzieć. Po pierwsze jest to tajemnica wojskowa po drugie przyznam się, że dokładnie nie wiem. —

— Właśnie którędy przyjdzie ta pomoc? — podchwycił Jerzy.

— Którędy by nie przyszła to właściwie jest wszystko jedno. Pewnem jest, że przyjdzie, bo przyjść musi — przekonywującym tonem powiedział porucznik.

— My w każdym razie czekamy — wtrącił kapitan — Chyba nie pozostaniemy bezbronni zdani na pastwę wroga. Obecnie

rozporządzamy tylko kilkunastoma aparatami szkolnemi, które mogą ułatwić jedynie zmianę miejsca jeżeli nas Niemcy tutaj wyśledzą. —

— A co się stało z naszemi bombowcami i maszynami pościgowemi ? — ciekawie zapytała pani Żebrowska.

Kaptan rozłożył bezradnie ręce :

— Tajemnica wojskowa. Nietsety nie mogę udzielić odpowiedzi. —

Wierzbicki pokiwał smutnie głowa :

— Nie tyle tajemnica ile tragedja. —

Zapadał mrok. Kontury pałacu ryczynieckiego powoli zamazywały się na tle ciemniejącej przestrzeni horyzontu, zlewały się w jedną masę z otaczającemi pałac drzewami, których gałęzie i konary przenikały wzmagająca się ciemność i wiły się wśród gąszczu własnych liści.

Jerzy uznał, iż ciemności znakomicie ułatwiają jazdę, uwalniają bowiem od ataków niemieckich lotników, narażając jedynie na nieprzewidziane kraksy, zderzenia czy też drobne zahaczenia o wóz drabiniasty, względnie pojazd mechaniczny. Pożegnał więc serdecznie lotników, Wierzbickiego, który oświadczył raz jeszcze ,iż stanowczo dalej nie jedzie i w towarzystwie pani Żebrowskiej udał się do garażu. Motor nie chciał zapalić. Starter niedokładnie działał i często się zacinał, pomimo niedawno przeprowadzonego remontu. Prawie godzinę grzebał się Jerzy w zawiłach rurach i przewodach samochodu, aż zdenerwowany organizm wozu zawarczał raptownie głośno i chrapliwie, co oznaczało, iż zgadza się na dalszą jazdę i może udać się w drogę. Czarnocki umazany wszelkiego rodzaju smarami usiadł przy kierownicy. W tej chwili dał się słyszeć czyjś przyśpieszony krok, zamajaczyła jakowaś postać, taszcząca ogromnych rozmiarów walizę i ozwał się głos Wierzbickiego :

— Hallo ! Jerzy poczekaj. Jadę z tobą. —

Zbliżył się w szybkiem tempie do samochodu i usiłował wepchnąc swój bagaż :

— W ostatniej chwili zmieniłem projekt — tłumaczył — pojadę do Lublina i tam zostanę. Psia krew, waliza nie włazi ! — zauważył ze złością.

Jerzy śmiał się serdecznie :

— Mówiłeś, że została ci tylko maleńka walizeczka a przyniosłeś taki ogromny toboł. —

— Masz rację! — Krzyknął Stefan — zamieniłem. To napewno któregoś lotnika. —

Wrócił do pałacu i po paru minutach niósł triumfalnie maleńki neseserek, zapominając tym razem tylko kapelusza. Nakrycie szlachetnej głowy znalazło się dość prędko i okrutnie zmęczony i ciężko dyszący usadowił się obok Czarnockiego.

— Jedziemy — odetchnął z ulgą Jerzy.

— Niech was Bóg prowadzi — pokiwała ręką pani Żebrowska.

Łuny dogasających pożarów drgały konwulsyjnie na wilgotnej przestrzeni poranka. Ciemny dym unosił się w strzelistych słupach nad bezkształtnemi masami gruzów, uwikłanymi w strzępy ludzkiego dorobku. Parę ciemnych, zda się nieruchomych, postaci kobiet siedziało uparcie nad pogorzeliskiem jak by w nadzieji, że cud się stanie i ich domostwa powrócą do całości. Po asfalcie nieprzerwanie sunęły pojazdy.

Stefan uniósł głowę, która opadła mu na piersi ukołysana snem i rzekł, wskazując na pożary:

— Tędy już przelatywali Niemcy. Lublin płonie. —

* * * * * *

Na skrzyzowaniu głównych ulic Lublina stał policjant i z widocznie zmęczonym wyrazem twarzy, kierował ruchem. Jerzy zatrzymał samochód i zwrócił się do przedstawiciela "granatowej władzy":

— Jestem z ministerstwa spraw wewnętrznych. Gdzie jest siedziba ministra i biur? —

Policjant wzruszył ramionami:

— Nie wiem —

— A Bank Rolny? — zapytał Wierzbicki.

"Władza" popatrzyła tym razem na obu nudziarzy wzrokiem jakim się wita nieszkodliwych warjatów i ironicznie się uśmiechnęła:

— Cholera ich wszystkich wie. Byli ale już zwiali. —

— Zwiali? — zdziwił się Czarnocki.

— Ano zwiali. Jak germańskie psy zaczęły grzać, to wszystkie ministry walizy w garść i najechali. Jedź pan za niemi.

— wskazał policjant kierunek asfaltu ujęty w dwa rzędy gruzów i zgliszcz.

Lublin gościnnie przepuszczał przez szerokość swoich dróg niezliczone ilości uchodźców. Miejscowe kawiarnie oblężone przez wygłodzonych wygnańców nie były w możności zaspokoić wszystkich potrzeb. Ulice zalegały tłumy przechodniów, wałęsających się z bezradnym wyrazem twarzy, z obliczem prawdziwej troski i niepewności. Przed największym hotelem zbombardowanego miasta spotkał Jerzy jednego z dyrektorów ministerstwa spraw wewnętrznych:

— Cieszę się niezmiernie, że pana dyrektora spotykam — wykrzyknął Czarnocki — gdzie jest całe ministerstwo? —

Dyrektor niechętnie spojrzał na Jerzego i pośpiesznie zniknął w ciemności swojej limuzyny:

— Wszyscy wyjechali. Ja też wyjeżdzam. Niech pan nas szuka w okolicy Łucka. —

Wierzbicki zaśmiał się:

— Słyszysz! "w okolicy Łucka"! —

Czarnocki pozostał chwilę nieruchomy. Niezauważył nawet jak dyrektor odjechał.

— Martwisz się? — zapytał Stefan — Czego? Niech jadą na zbity łeb. Ciekawe tylko gdzie się zatrzymają? —

— Niema rady — wzruszył ramionami Jerzy — Muszę jechać do Łucka.

— Szczęśliwej podróży — wycedził Wierzbicki — Życzę spotkać jaknajprędzej któregoś z naszych czcigodnych dygnitarzy. Mam wrażenie, że to będzie jednak bardzo trudne. Ja dalej nie jadę. —

— Co masz zamiar robić? —

— Posiedzę trochę w Lublinie i wracam do Łodzi. —

Przed stacją benzynową otoczoną kordonem policji i obstawioną starannie żołnierzami ustawił się parutysięczny sznur samochodów, który wił się wśród wąskich jezdni i przechodził pod masywem wiaduktu kolejowego.

Jerzy pożegnał Wierzbieckiego, który zniknął w otchłani dużej kawiarni i stanął w "ogonku" po benzynę z kwitem opatrzonym Nr. 4852. Godziny oczekiwania przesuwały się wolno, leniwie, cięgnęły się w niezkończoność. Im bliżej pompy benzynowej, tym większy gwar, narastająca ciżba, krzyki, wymyślania.

Nagle jeden potężny okrzyk: Niemcy! — wyrwał się z tłumu i zwalił się na ziemię, rozpryskując się w drobne odłamki ciszy. Brzmiał jak eksplozja, jak detonacja ogromnej bomby. Z kłębiastej, biało-szarej chmury wyłoniły się kadłuby ciężkich bombowców i zawisły nad głowami ludzkiemi jak czarne, rozkraczone ćmy.

Ktoś krzyknął:

— Kłaść się na ziemię! —

Wszyscy wykonali rozkaz.

Z ziemi zagrały karabiny maszynowe — jedyna obrona przeciwlotnicza Lublina — a z powietrza waliły się świszczące kilogramy wybuchowych materji. Przestrzeń prześwidrował jeden okrutny świst, zamajaczyła ciemna masa, niezywkła siła wstrzymała oddech i grzmot potężny ogłuszył Czarnockiego. Obok wiaduktu kolejowego, w stłoczoną masę samochodów i ludzi padła bomba. Wyrzucone siłą impetu i wybuchu strzępy pogmatwane wozów i bagaży uwikłane w kawałki ludzkiego ciała, rozprysły się na wielkiej przestrzeni. Krew obficie zbryzgała masy okolicznych domów i gruzy zawalonych mieszkań. Jerzy, który był daleko od miejsca eksplozji, z trudem mógł się teraz zbliżyć, aby nieść ratunek i pomoc. Szedł uważnie aby nie nastąpić na kawałek trupa, aby nie rozdeptać strzaskanej czaszki czy nie poślizgnąć się o jelita. Jęk rannych zagłuszył odgłosy dalszych detonacji, uniósł się w swej skondensowanej potworności gdzieś ponad zasięg ludzkiej mocy, obijał się o sklepienia niebios, był odpowiedzią bezbronnego społeczeństwa na barbarzyństwo nowoczesnych Niemiec. Trup jakiejś kobiety walał się skrwawiony, ściskając ostatnim uściskiem matki rączkę martwego dziecka. Obok głowa młodego chłopca o otwartych oczach, wygasłem, szklannem spojrzeniu.

— Wieczne odpoczywanie racz dać im Panie . . . szeptał Jerzy.

Ponieważ wszystkie władze wyniosły się już znacznie wcześniej z miasta, przeto pomoc zorganizowano z całych i zdrowych uchodźców. Mężczyźni nosili rannych, kobiety opatrywały rany. Znalazł się nawet policjant, który usiłował spisywać protokuły i akta zgonów ale wkrótce zaniechał swojej twórczej pracy. Na liczne zapytania oświadczył, iż niemożna w tej chwili liczyć na przybycie ambulansów ani doktorów, bo narazie nikogi niema.

Czarnocki zmęczony dźwiganiem ofiar, usiadł na pniu zwalonego drzewa i zapalił papierosa.

— Nad czym tak dumasz ? — ozwał się głos nad jego głową.

Podniósł oczy. Nad nim stał Wierzbicki. Ręce miał umazane krwią, ubranie w wielkim nieładzie.

Jerzy zdziwił się :

— Skąd się tu wziąłeś ? —

— Na wiadomość o bombie przyszedłem zobaczyć co się tu święci. Pomagałem nosić trupy. Układaliśmy je jedne obok drugich. Cieszę się niezmiernie, że jesteś zdrów i cały. —

— Byłem dość daleko od miejsca wypadku. —

— Nie tyle ty od miejsca wypadku, ile bomba upadła daleko od ciebie — Wierzbicki usiadł na ziemi obok Jerzego — W Lublinie bałagan niesamowity. Nikt nic nie wie. Wszyscy wieją. Plotki krążą najbardziej przedziwne. Jedni mówią, że odbliśmy szereg miast, drudzy, że alianci już są w akcji razem z nami, inni, że Niemcy pchają się naprzód. Kompletna dezorganizacja.

Jerzy machnął ręką :

— Smutna jest ta nasza rzeczywistość .—

— Tragiczna. — podchwycił Stefan — I pomyśl tylko, że to dopiero początek. Zaledwie parę dni wojny. —

Czarnocki podniósł się ociężale :

— Jadę — zawyrokował.

— I ja też — oświadczyl Wierzbicki — Tu niema poco zostawać. Zobaczymy dalej jak sprawy stoją. Zostanę gdzieś w jakiejś małej mieścinie. Tak będzie najlepiej. —

Jerzy z wielkim trudem wyprowadził maszynę z wąskich, zatłoczonych ulic Lublina, minął domy bez dachów, objechał leje i wyżłobienia na jezdniach i znalazł się na szerokiej szosie.

Wierzbicki sapał jak zwykle głośno i ciężko, wzdychał, gładził się po głowie i ćmił nieustannie papierosy :

— Dokąd jedziemy ? —

— Narazie do Chełma Lubelskiego —

Bocznemi ścieżkami, wijącemi się jak cienkie wstążki po obu stronach szosy, szli ludzie obciążeni tobołkami i ciężarem przejść ostatnich. Szli w wielką drogę bez przeznaczenia mijali się milcząc, lub, zamieniając niezbędne słowa. Szli nękani kulami, miażdżeni bombami, głodni i bezradni wobec prawa pięści najeźdźcy i potęgi jego żelaza. Za niemi posuwały się zmotoryzowane kolumny wroga, wśród ciszy śmierci i ogromu

zniszczenia. Obok nędznych, starych kobiet, płaczących dzieci i starców, przesuwali się urzędnicy, młodzież, grupki żołnierzy, policja, strażacy — wszyscy zmęczeni, wyczerpani nieludzko, wlekli się ociężale aby naprzód, aby dalej . . . Cząstki rozbitych pułków szły, lub jechały w poszukiwaniu łączności i rozkazów.

Wóz drabiniasty wysłany słomą i ciągniony przez chudą szkapę zatrzymał się na skraju szosy. Zeszło zeń pięciu żołnierzy i nachyliło się nad przydrożnym rowem.

Jerzy zatrzymał samochód.

Na dnie płytkiego rowu leżała krwawiąca masa ludzkiego ciała. Kobiecy kadłub pozbawiony obu rąk i jednej nogi żył i mówił. Oczy płonęły blaskiem gasnącego życia, światłem, które przed ostatecznem zniknięciem błyśnie mocniej, potężniej niż zwykle.

— Krew moja — nówiła wolno, głosem spokojnym — niech padnie przekleństwem na naszych odwiecznych wrogów. Cierpienia moje niech choć w najmniejszej cząstce przyczynią się do naszego zwycięstwa. Zostawiam dzieci. Stąd daleko, opiekujcie się niemi. Niech im Bóg da moc do wytrwania. Niech łaska Boska oświeci nasz naród i Matka Chrystysowa da swoją opiekę. Nie żałujcie mnie. Odchodzę bo takie są wyroki Najwyższego. Widzę naszą ojczynę wielką, ogromną, zwycięską.

Ucichła. Oczy zamknęły się. Na ustach spalonych gorączką pojawił się uśmiech ukojenia:

— Pić! —

Żołnierz rozejrzał się po okolicy i pobiegł w stronę przydrożnego domku.

Jerzy i Stefan stali nieruchomo.

Twarz nieznajomej zaróżowiła się nagle i zbladła straszliwie. Wargi poruszyły się:

— Już dobrze — dał się słyszeć drżący szept.

Żołnierz nadbiegł z kubkiem wody. Krople upadły na martwe usta.

Z zielonego, obkurzonego auta wysiadł major i zbliżył się do zebranych:

— Co tam? — zapytał.

Pięć żołnierskich postaci stanęło na baczność.

— Trup nieznajomej — zameldował żołnierz.

Oficer zbliżył się i umilkł.

— Skąd wy? — zapytał po chwili cichym głosem.

— Z pod Katowic panie majorze. Nasz pułk rozbity. —
— A dokąd ? —
Szukamy swoich. Mają tu gdzieś być.
— Dobrze — odpowiedział major i znikł wraz ze swoim samochodem.
Stefan trącił Czarnockiego w rękę :
— Możemy jechać ! Jeszcze jedna ofiara barbarzyńców niemieckich odeszła w krainę lepszych marzeń. Widziałem pod Warszawą wiele takich nieszczęsliwych postaci. Jakaś staruszka lat około osiemdziesięciu z głęboką raną prawego boku leżała na trawie dwie doby zanim skonała. Nikt jej nie ruszał, bo przygodni doktorzy, którzy ją badali orzekli zgodnie, iż stan jej jest beznadziejny. Tak wygląda nawoczesna wojna — westchnął Wierzbicki.
Jechać trzeba było bardzo wolno i ostrożnie, bo obok zbitej masy posuwających się pojazdów, stały porzucone, bezpańskie samochody-widma. Jedne rozbite, strzaskane bombą lub wypadkiem, inne, stojące w najlepszym porządku, unieruchmoione z braku benzyny. Zazwyczaj kartka wyjaśniała powód zostawienia maszyny. Na dużym, czarnym "Pacardzie" widniał napis : "Motor unieruchomiony." Paręset metrów dalej na zielonej, pięknej limuzynie wisiała kartka : "Zostawiam moją kochaną Żabcię (limuzynę) na pastwę losu zpowodu braku paliwa. Jadę dalej moim Szczeniakiem (małym Fiacikiem"). Żabci powykręcałam i popsułam wszystkie wnętrzności, aby nie mogła słyżyć Niemcom. Proszę ją rzucić w ostatniej chwili jako barykadę pod nogi wroga."
Zegar przesunął wskazówki poza znak północy, niebo powlokło się zasłoną ciemnych chmur, kiedy blask czerwono — żółtych płomieni i silny zapach spalenizny, wskazywały blizkość miasta.
— Dojeżdżamy da Chełma Lubelskiego — oznajmił Jerzy.
— Odrazu można poznać — rzekł Stefan, wskazując pożary.
Mała, czerwona lampka zawieszona na drągu, przecinającym szerokość szosy, a obok chłop z białą opaską na ramieniu — stanowili wyraźną przeszkodę przy wjeździe do miasta.
— Nijakiego przejazdu niema — powtarzał uroczyście jednostajnym głosem ów osobliwy wartownik.
— Służbowo jadę do Łucka — krzyknął Czarnocki.
— Mam rozkaz nie puszczać do Łucka. —

— Kto wydał taki rozkaz?

— Minister, że tędy jechał z policją, kazał zamknąć drogę, bo w Łucku już tłok jak ciężka cholera. A po ministrze przylecieli Niemcy dranie, bombów narzucali, drogi rozbite, jazdy niema i koniec. Jechać można na Złoczów. Tam inne ministry pojechali i policja takżesamo. —

Tego dość przekonywującego wyjaśnienia słuchało oprócz Czarnockiego i Stefana jeszcze dwie osoby. Młoda szatynka o dużych, ciemnych oczach i karminowanych wargach, oraz wysoki szatyn w kraciastym, sportowym ubraniu. Szatynka o bardzo zgrabnych kształtach starannie okrytych pierwszorzędnie skrojonym kostjumem, wzruszyła ramionami:

— Niesamowita historja. Gdzie będziemy go dalej szukać? —

— "Go" — to znaczy ministra reform rolnych — uprzejmie wyjaśnił szatyn, zwracając się do Jerzego — Panowie zapewne w podobnej jak my sytuacji? —

— Tak. — odpowiedział Czarnocki — Obaj szukamy naszych urzędów. Ja ministerstwa spraw wewnętrznych a mój przyjaciel Banku Rolnego. —

— Zastanawiam się proszę panów — wtrąciła szatynka — czy wogóle jest celowe dalej szukać? Ja osobiście nie mam najmniejszej nadzieji na znalezienie kogokolwiek. —

— Musimy spełniać nasze rozkazy — zauważył szatyn — Trochę cierpliwości. —

— Twoja Wacku cierpliwość jest zawsze tam gdzie jej niepotrzeba. —

— W tym wypadku, Danuto, postępuję tylko zgodnie z moim sumieniem. Przypuszczam, że panowie przyznają mnie rację —

— Niestety proszę pani — uśmiechnął się Wierzbicki — w tym wypadku całkowitą rację przyznaję panu, aczkolwiek nie wątpię, że we wszystkich pozostałych wypadkach racja jest po pani stronie. —

Danuta spojrzała na Stefana przyjaznym wzrokiem:

— Bardzo to miło, że nawet w tak tragicznej chwili zdobywa sie pan na komplementy. —

— Niech mnie pani wierzy — tłumaczył Wierzbicki — że jestem pierwszym, który ma już zupełnie dosyć tej jazdy. Chętniebym został tutaj i wrócił do Łodzi, ale jadę dalej bo muszę. —

Rozmowa toczyła się składnie. Poruszono tematy najbardziej aktualne i, pomimo, słabnacego wprawdzie sprzeciwu pani Danuty, postanowiono jachać do Złoczowa.

Już z samochodu urocza jedynaczka zapytała swoim miłym głosikiem :

— Czy znają panowie ostatnie wiadomości ? —

— Niezupełnie — bąknął Jerzy.

— A więc : Warszawa się broni. Częstochowa odbita i Łódz też. Pomoc aliantów nadchodzi. —

— Brawo — krzyknął Wierzbicki — Rączki pani całuję. Nic lepszego nie mogła pani powiedzieć. —

Wacław i Danuta odjechali pierwsi.

— Mam nadzieję, że się jeszcze spotkamy — rzucił Wacław na odjezdnem.

Wierzbicki patrzył dość długo za niknącym samochodem :

— Wiesz — poklepał Jerzego po ramieniu — zaczynam żałować, że nie jesteś kobietą. Wtedy bym jechał z tobą na koniec świata. —

Jerzy uśmiechnął się :

— Nieproprawny z ciebie łajdak. —

Wierzbicki westchnął dwukrotnie, patrząc tęsknym wzrokiem w przestrzeń i rozpoczął spacer wokół samochodu. Przechadzał się starym zwyczajem prędko i bezmyślnie, potykał się często, zawadzął o błotniki i zderzaki wreszcie stanął i uderzył się w czoło :

— Jerzy ! — zawołał — Jakże chcesz jechać skoro nie masz benzyny ? —

— Mam wystarczającą ilość — odparł spokojnie Czarnocki — Zapomniałem zupełnie, że pod tylnym siedzeniem jest bańka pełna paliwa. —

Jechali długo nic niemówiąc.

— A jednak Warszawa się broni — przerwał milczenie Jerzy.

— A Łódz odbita — wymamrotał przez sen Wierzbicki.

* * * * * *

Na jesień roku 1939 słońce patrzyło upalnem spojrzeniem,

jakby chcąc ciepłem swoich promieni otoczyć nękaną ludzkość i opromienić ciężkie dni jej istnienia. Drzewa i krzewy zdawna osiadłe na rozległych ziemiach Polski nie pamiętały od wielu lat tak pięknego czasokresu. Zielone przestrzenie łąk, ciemne bruzdy pól zoranych, sterty zbóż i bory — owe prastare gąszcze puszcz, przejawem radości witały polską jesień. Zwierz ukryty w lasach zapędzał się hen aż na pastwiska, nieczując blizkości zimy. Ptactwo, co przed mrozami i jesienną szarugą, przenosiło swe gniazda do ciepłych krai, tym razem nie wybierało się jeszcze w drogę, nucąc swe skomplikowane pieśni i, prowadząc tajemne rozhowory. I aż dziwnem się zdawało, że w taki piękny okres rozigranej, czarem tchnącej, natury grzmią działa, i świszczą kule, że w przejasnych promieniach słońca srebrzą się sylwetki wrogich samolotów, że zygzak swastyki przesuwa się po niebieskich sklepieniach, a wyschłe drogi dźwigają ciężar niemieckiego żelastwa.

Przez szosy, ścieżki, pola i łany szła fala uciekinierów.

— Patrz co za okropny widok — wskazał palcem Wierzbicki.

Jerzy spojrzał w prawo.

Brzegiem drogi szła kobieta boso, mocno kulejąc. Lewa stopa znaczyła śladem krwi ciemnoszary pas asfaltu. Obok biegło pięcioro małych dzieci i szedł mężczyzna z małym zawiniątkiem zatkniętym na kiju.

— Może państwa podwieść? — zapytał Czarnocki.

Kobieta popatrzyła z nieufnością, przygarnęła dzieci do postrzępionej spódnicy, pokiwała przecząco głową i rzuciła krótko:

— Nie. —

— Nie potrzeba — dodał mężczyzna.

Jerzy nie ponowił propozycji.

— Pomyśl tylko — zwrócił się do Stefana — jak ci ludzie cierpią. Jaka przepaść ich dzieli od nas. Jak głęboko zakorzeniona jest nienawiść tych mas ludu robotniczego do klasy posiadającej. Woli paść ze zmęczenia aniżeli skorzystać z drobnej przysługi przejechania samochodem. —

— Tak — pokiwał głową Wierzbicki — Kwestja robotnicza i chłopska — to dwa zagadnienia, które nie znalazły jeszcze u nas należytego rozwiązania. —

Czarnocki wyminął trzy drabiniaste wozy zapchane pasażerami.

— Bezwzględnie musimy przejść gruntowną reorganizację wewnętrzną. Musimy przestawić nasz aparat życia państwowego na nowoczesne tory istnienia. Rozwiązać należycie zagadnienie społeczności. Usprawnić gospodarkę państwową a przedewszystkiem zorganizować się. —

— Właśnie — podchwycił Stefan — przedewszystkiem zorganizować się i wprowadzić wolność myśli i słowa. Tak przerobione państwo, oparte o zasady prawd boskich musi być silne. —

— No i dopuścić nareszcie krytykę do głosu. Nie bać się prawdy. Nie zamykać prawdy w obozach koncentracyjnych nie wytaczać jej błazeńskich procesów i docenić nareszcie znaczenie propagandy jako czynnika budującego i twórczego. —

— Oraz mój drogi przesiać przez sito obecnych wielkorządców naszego kraju i powołać odpowiednich ludzi na odpowiednie stanowiska. —

— Jestem przekonany — mówił Jerzy — że obecny kataklizm wywoła gruntowne zmiany w rządzie. Stare grzeszki i stare błędy muszą pójść precz. —

— Tylko trzeba dobrze uważać żeby ci nowi władcy nie reprezentowali starego zakłamania, starej głupoty, żeby dbali należycie o interes publiczny a nie o własny. —

— Tak Nowa Polska, która powstanie po zwycięskiej wojnie z Niemcami musi być Nową prawdziwie, bezapelacyjnie i gruntownie. —

— Jeżeli jeszcze mają istnieć obozy koncentracyjne w Nowej Polsce to tylko chyba poto aby w nich lokować idiotów i kretynów. — dodał Wierzbicki.

Skrzyżowanie dróg przecinało się właśnie w prostopadłych linjach. Głowną szosę, kierunek zdążających uchodźców, zamykał podwójny szpaler oficerów.

— Stać! — krzyczał młodziutki podporucznik — Zajmować miejsca na bocznej drodze. Przejście dla wojska. —

Na drodze pojawiły się ciężkie opancerzone auta, duże, zgrzytające tanki najeżone armatkami i ciezarówki pełne żołnierzy.

— Wiwat! Niech żyją! Niech żyją! — padały okrzyki pełne entuzjazmu i nadzieji.

Żołnierze odpowiadali uśmiechem na powleczonych kurzem i prochem twarzach, na spalonych pragnieniem ustach.

Widok wojska napawał otuchą i umacniał w pewności

zwycięstwa. Bo któż tak jak polski żołnierz potrafił bić się z pełnią determinacji i samozaparcia się? Któż tak obficie przelewał krew za świętą sprawę wolności narodu? Kto wypisał piękniejsze karty w historji walk bohaterskich? Kto bardziej wsławił swe imię w dziejach poświecenia i odwagi?

Żołnierz polski — armia polska — to chluba i widomy znak potęgi narodu polskiego. Tak zawsze było, jest i będzie.

W tej chwili kiedy przejeżdżali przed oczyma uchodźców znużeni krwawym bojem byli wyrazem woli Rzeczypospolitej. Nie wiedział wtedy jeszcze nikt dokładnie, że zmotoryzowane kolumny niemieckie pchają się w masy nieuzbrojone polskich żołnierzy, którzy, walcząc dosłownie gołemi rekami, wprawiają w podziw swem bohaterstwem nawet wroga. Niewiadomo było, że za pękającemi linjami naszego frontu jawił się brak sprzętu i amunicji a nad wszystkiem unosił się brak organizacji.

Przejechali.

Sznur aut prywatnych wygrzebał się z pasma bocznej drogi i ruszył dalej.

Złoczów, jak zresztą wszystkie spotykane po drodze miasteczka i większe miasta, wyglądał jak wielki targ w dzień dorocznego jarmarku. Przed starostwem, najbardziej szanowanym i okazałym budynkiem tłok był największy. Tu miały prawo zatrzymywać się jedynie wybrane limuzyny bardziej dostojnych właścicieli. Stali oni w długim ogonku przed drzwiami starosty, wymyślając się wzajemnie i, patrząc z nienawiścią jeden na drugiego. Starosta zaś zlany potem i upadający ze zmęczenia odpowiadał nieustannie:

— Bardzo mnie przykro, ale już benzyny nie mam. Nie wiem nawet czy coś zostało dla mnie. —

Międzyczasie odbierał telefony. Zwierzchnik starosty dzwonił nieustannie, wydając rozkazy:

— Proszę natychmiast — mówił prędko — ewakuować całe starostwo, policję, strażaków, służbę miejską i wogóle wszystkich.

Za chwilę zmiana:

— Proszę zatrzymać policję. Ewakuować tylko urzędy. —

Nim zdołano wydać odpowiednie zarządzenia telefon oznajmiał:

— Wstrzymać się i czekać następnych rozkazów. —

Potem dzwonek telefoniczny cichł definitywnie co oznaczało

niezawodnie, że zwierzchnik już zwiał a starosta mógł robić co mu się rzewnie podoba.

Stefan i Jerzy weszli do niewielkiej kawiarenki, pełnej po brzegi, jak zresztą wszystkie tego rodzaju przedsiębiorstwa. Nim usiedli przy skrawku stołu gościnnie odstąpionego przez nieznajomego kapitana, podbiegł do Czarnockiego gruby i łysy pan z okrzykiem radości :

— Nadzwyczajne spotkanie ! Szukam pana od samego wujazdu z Warszawy. Miał pan być w Lublinia ł —

Jerzy uścisnął przyjaźnie dłoń grubasa :

— Tak miałem być w Lublinie, ale sądzę, że pan też jechał tylko do Lublina . . . —

Grubas westchnął :

— Tak, tak . . wszyscy jechaliśmy tylko do Lublina . . . Niezbadane sa wyroki Boskie . . . Ale zanim panu zrobię wielką przyjemność — mówił prędko, ocierając pot z czoła — muszę zakumunikować, że zupełnie wypadkowo spotkałem naszego ministra. —

— Niemożliwe ! —

— Najoczywistrza prawda. Stało się to dzięki oponie, która mu nawaliła na drodze. Rozmawiał ze mną bardzo serdecznie i mówił żeby jechać do Tarnopola. Jeżeli tam się go nie zastanie to będzie napewno na linji Kosów-Kuty. —

— Świetna perspektywa — zauważył Jerzy. — Ale przynajmniej dzięki panu wiem co robić. —

Czarnocki lubił bardzo grubasa, od imienia Feliks — "Filusiem" zwanego, który, kolegując z nim w ministerstwie nie tracił nigdy dobrego humoru ani też języka w gębie.

Filuś po wyrzuceniu ze siebie w możliwie najszybszym tempie wszystkich posiadanych wiadomości, sięgnął do kieszeni i z triumfującą miną zwrócił się do Czarnoskiego :

— Proszę. —

W grubej łapie trzymał pomiętą małą kopertę. Jerzy poznał charakter pisma matki. Filuś Dziembowski wyjaśnił pośpiesznie :

— Przed wyjazdem wpadłem do pana. Pana już nie było. Szanowna mamusia przyjęła mnie jak zwykle bardzo serdecznie i prosiła żebym panu oddał ten list jak go spotkam. Biedactwo tęskni za panem ale trzyma się doskonale. I jeszcze jedno — tu Filuś filuternie zmrużył oko — na samym odjezdnem spotkałem

panią Izę. Jak zwykle piękna i czarująca, tylko bardzo blada i zdenerwowana. Na dowiedzenia powiedziała: "jak pan spotka Jurka, to proszę mu powiedzieć żeby dbał o swoje zdrowie, przecież jest taki słaby . . ." Pozatym, Warszawa broni się znakomicie. Mam wrażenie, że linja Wisły to linja obecnego frontu. A na dowidzenia jeszcze jedno: bombowce francuskie już w drodze, linja Zygfryda przerwana ! ! ! —

Dziembowski pożegnał się serdecznie.

Jerzy przerwał kopertę:

"Drogie dziecko !

Korzystam z uprzejmości Pana Dziembowskiego aby Ci donieść, że jestem zdrowa i czuję się zupełnie dobrze. Bombardowania wprawdzie coraz większe, ale już się wszyscy do nich przyzwyczaili. Panią Izę widuję często. Jest bardzo smutna. Napisz jeżeli możesz.

Całuje całem sercem Cię kochająca

Matka."

Czarnocki conajmniej dziesięć razy przeczytał list a nad słowem "Marka" zatrzymał swój wzrok na dłużej. Pisał wprawdzie pocztówki i wysyłał je ale, wobec wieści jakie rozchodziły się o ciężkich walkach pod Warszawą, słabą miał nadzieję aby jego listy doszły do miejsc przeznaczenia. Zchował wreszcie kopertę do kieszeni położonej najbliżej serca i podszedł uśmiechnięty do stolika.

Wierznicki znudzony długim oczekiwaniem nawiązał rozmowę z gościnnym kapitanem. Oficer wracał wprost z pewnego odcinka frontu, który po zaciętych walkach został przerwany.

— Niemcy atakują nas — mówił — olbrzymią siłą. Rzucają do walki zmotoryzowane oddziały wspierane przez eskadry bombowców. Atakują systemem klinowym. My natomiast nie mamy odpowiedniej broni do skutecznej walki. Nasz żołnierz bije się wprost fantastycznie. Dokonywuje cudów waleczności ale mimo to cofamy się. —

— I co dalej ? — zapytał Stefan.

— Czekamy na pomoc aliantów, powstrzymując marsz wroga. Są wiadomości, że na niektórych odcinkach frontu odnieśliśmy zwycięstwa, odbijając wiele miast. Zresztą w ogólnej sytuacji ja sam się dobrze nie orjentuję, bowiem niepodobna naiwiązać łączności z poszczególnemi armiami. —

— Sytuacja niewesoła — wtrącił Jerzy. Niepokoji mnie

specjalnie widok grupek żołnierzy, chodzących luzem po drogach i szosach. To bardzo zły obiaw. —

— To są albo resztki z rozbitych pułków — wyjaśniał kapitan — albo zmobilizowana rezerwa, która nie może znaleźć swojego dowództwa. —

— Ładne rzeczy — pokiwał głową Wierzbicki.

— Trudno się mówi i trzeba bić się dalej aż do zwycięstwa. — zakończył kapitan, wstając od stolika.

Czarnocki wyjaśnił Stefanowi kim jest grubas, z którym rozmawiał:

— Na zakończenie powiedział mnie prawdziwą sensację: linja Zygfryda przerwana!! —

Wierzbicki aż podskoczył na krześle i zachłysnął się dymem:

— Co ty mówisz!?! — To znaczy, że piorą Niemców jak należy. Nigdy wprawdzie nie wątpiłem w militarną potęgę Francji, ale żeby tak prędko się rozprawili z Zygfrydem, tego nie przypuszczałem, Brawo!! Brawo!! —

— Z czegó pan tak się cieszy? — zadźwięczał miło kobiecy głosik.

— Witam państwa — odpowiedział Jerzy, całując delikatną i bardzo pieknę rączkę pani Danuty.

— Widzę, że drogi nasze prowadzą w jedną stronę — śmiał się Wacław.

— Proszę siadać — zapraszał Stefan.

— Chętnie skorzystamy z panów uprzejmości, ale pozwolą panowie, że w takim razie wymienimy nasze nazwiska: nazywam się Wacław Ślaski i podróżuję z moją cioteczną siostrą, Danutą Szaniawską. Naprawdę z cioteczną siostrą — dodał, wybuchając śmiechem.

Stefan i Jerzy dopełnili aktu prezentacji i wszyscy zasiedli przy małym stoliku.

— Może nam pan teraz wyjaśni powód swojej radości? — ciekawie pytała pani Danuta.

— Bardzo chętnie — odrzekł Wierzbicki — Nie mniej ani więcej tylko linja Zygfryda przerwana! Biją Niemców na całego.

— Nadzwyczajne!! — ryknął Ślaski — To mnie się podoba. Tak, to co innego. Nam natomiast mówiono, przed chwilą, że pod Warszawą okropne boje. Stolica broni sie z niebywałem bohaterstwem. —

— Podobno to prawda — potwierdził Jerzy—Ale ja zaczynam być dobrej myśli. —

— Znany optymista — zaśmiał się Stefan.

— Posuwam się nawet dalej i twierdzę, że za dwa a najdalej trzy tygodnie będziemy w Berlinie. Jestem gotów trzymać zakład—

Szaniawska wyciągnęła rękę :

— Zakładam się z panem. —

Podała białe, długie, wypielęgnowane palce. Jerzy poczuł na sobie siłę jej spojrzenia. Podniósł głowę. Duże, ciemno — bronzowe oczy ujęte w ramy czarnych rzęs, patrzyły bardzo przyjaźnie. Uśmiechnęła się, ukazując dwa rzędy pięknych zębów.

— Ładna — pomyślał Czarnocki.

Wierzbicki przeciął zakład :

— Zobaczymy kto wygra —

— Co panowie myślą dalej robić ? — zapytał Ślaski.

Jerzy poczęstował papierosami :

— Jechać. Przed chwilą dostałem wiadomość, że władze jadą w kierunku Tarnopola i zatrzymają się w okolicy Kosowa lub Kut. —

— Ja radzę zostać — wtrącił Stefan.

— Jeżeli rzeczywiście jest nadzieja zobaczenia naszych dygnitarzy, to moja rada : jechać — zaciagnęła się dymem Danuta.

— Pracuję w ministerstwie Reform Rolnych od pięciu lat, Danuta od trzech, ale jeszcze takiej gonitwy za ministrem nigdy nie uprawialiśmy — Uśmiechnął się Wacław — Niemniej jeżeli jest nadzieja na złapanie naszego dostojnika to oczywiście jedziemy i to nietracąc czasu. —

Jeszcze chwila miłej pogawędki a Danuta i Ślaski odjechali.

— Spotkamy się w Tarnopolu, ewentualnie w Kosowie lub Kutach. Proszę pamiętać i nie zbłądzić — spojrzała przed odjazdem na Jerzego ciepłym, łagodnym wzrokiem.

— Bardzo ładna — pomyślał tym razem Czarnocki.

— Psia krew ! — wycedził Wierzbicki — szczerze chciałem tu pozostać ale ta Danuta jest tak piękna, że muszę jechać dalej. Zresztą chcę nareszcie znaleść mój bank. —

Szli obok siebie nic niemówiąc. Kręte uliczki Złoczowa wiły się we wszystkie strony świata, gubiły się we własnej sieci aby za chwilę odnaleść swą ciągłość i wpaść w następny labirynt. Ludzie gonili się wzajemnie, wchodzili do sklepów, wychodzili, ładowali rzeczy, krzyczeli, wymyślali, mówili.

Czarnocki w zamyśleniu niemal dosłownie wpadł w ramiona porucznika-pilota, obok, którego jadł obiad w Ryczyńcu.

— Aaaa!! Witam! Witam! — wykrzyknął Jerzy.

Porucznik był blady i zmęczony:

— Mieliśmy ciężkie przejścia przy opuszczaniu Ryczyńca — mówił—Grzali nas mocno, ale szczęśliwie wszyscy są zdrowi i cali. Pałac nietknięty. —

— A teraz panowie pozostają w Złoczowie? — zapytał Wierzbicki.

— O nie. Jesteśmy w drodze po bombowce, które mają przyjść. —

— Mają przyjść, czy już przyszły? — zaciekawił się Jerzy.

— Zdaje się, że dopiero są w drodze. —

— A jak ogólna sytuacja? —

Oficer wzruszył ramionami:

— Trudno się zorjentować. Wiadomości są sprzeczne. Jedno jest pewne, że w powietrzu Niemcy narazie są od nas znacznie silniejsi. —

Porucznik śpieszył się bardzo. Zamienił jeszcze parę słów i pożegnał obu panów.

— Zdaje się, że miałem rację, twierdząc, iż wojna się dopiero zaczyna — zauważył Wierzbicki, wsiadając do samochodu.

— A ja mam rację napewno, twierdząc, że zgubiłeś swój neseser i kapelusz — odpowiedział Jerzy, którego dobry humor nie opuszczał tego dnia ani na chwilę.

Wierzbicki zrobił ruch ręką jaki czyni przeciętny obywatel przy zdjęciu czegoś co się ma na głowie, ścisnął w garści powietrze i zaklął siarczyście:

— Do stu tysięcy piorunów! Myślałem, że mam kapelusz. —

Potem przejrzał szczegółowo wnętrze samochodu i stwierdził obojętnym głosem:

— Neseser zapewne zgubiłem w Lublinie podczas noszenia trupów. —

— W tej chwili syrena wyjeczała słowa ostrzeżenia.

Stefan wskazał palcem w niebo:

— Lecą. —

* * * * * *

Kiedy zdezorjentowane masy polskiego uchodźctwa błąkały się po drogach Rzeczypospolitej, tonąc w powodzi plotek i niewiarogodnych wieści, kiedy dezorganizacja wdzierała się wszedzie, wróg parł naprzód.

Szli Niemcy, drogo płacąc za każdy skrawek zdobytej ziemi. Tysiące tonn śmiercionośnego żelastwa ryło Polskę, znaczące bliznami Jej skrwawioną przestrzeń. Zniszczenie hulało po miastach i wsiach, a sadyzm barbarzyńcy święcił triumfy. Niekiedy opływowy kształt bomby świszczącej grzązł w ziemi i nie wybuchał. Sterczał jak upiór, jak niesamowity pomnik wrogiej przemocy.

Armia polska walczyła, jak przystało na polskich żołnierzy, po bohatersku i niezwykle walecznie. Mimo nieludzkich wysiłków wróg zwyciężał, bo był lepiej uzbrojony i znakomicie do wojny przygotowany. Żelazny pierścień Niemiec coraz bardziej zacieśniał się wokół Warszawy. Stolica, świadoma dni, które ją czekają gotowała się do obrony, wznosiła barykady i trwała w niezmiennej pewności ostatecznego zwycięstwa. Dalekonośne działa najeźdcy zbliżyły swoje żelazne paszcze by pluć ogniem i ołowiem na Syreni Gród — Serce Rzeczypospolitej. A serce biło spokojnie, miarowym tętnem wytrwania i cierpliwości. Biło pełne nadzieji, biło wielkie i nieśmiertelne. I choć łza krwawa spłynęła czasami, choć pokrywało się bliznami ran, bije do dzisiaj nieprzerwanie, ciągle, czekając na chwilę zwycięstwa. Na dzień, w którym pozostałe przy życiu dzwony kościelne oznajmią światu, Europie i Polsce nową erę w dziejach istnienia, zabrzmią pieśnią Wolności Ludów.

Jerzy skręcił raptownie. Jak zwykle przy takiej okazji hamulce wydały zgrzyt niezadowolenia.

— Zaczepiłeś ? — zaniepokoił się Stefan.

— Nie. —

— Takiego tłoku jak tutaj w Tarnopolu jeszcze nie widziałem. —

Czarnocki kiwnął głową :

— Ciasno jest okropnie i ciemno niesamowicie. —

Zaledwie zatrzymali się w bocznej uliczce, ktoś nerwowo zastukał w drzwi samochodu.

— Otwierać ! — padł rozkaz.

Jerzy zdziwiony tak nieoczekiwaną wizytą opuścił szybę.

— Otwierać ! ! — powtórzył zdenerwowany głos.

Przed samochodem stał policjant:

— Wóz rekwituję. Wysiadać! —

— Panie — wybuchnął Czarnocki — Jak pan śmie tak się zachowywać? Proszę w tej chwili odejść. Wóz jest moją prywatną własnością i niepodlega żadnej rekwizycji. —

Policjant szarpał za klamkę:

— Prędzej wyłazić bo siłą wyrzucę. Rozkaz to rozkaz. —

— Jedziemy służbowo — odezwał się Wierzbicki.

Słowo: "służbowo" wpłynęło uspakajająco na przedstawiciela władzy. Zaświecił małą, niebieską latarką, przyjrzał się obu jadącym i rzucił pod nosem:

— Proszę dokumenty.—

Legitymacje ministerstwa spraw wewnętrznych i Banku Rolnego okazały się wystarczające. Policjant zasalutował i znikł. Stefanowi się zdawało, że na odchodnem powiedział "przepraszam."

— Ładne stosuneczki panują w tym szlachetnym mieście. Niech ich piorun strzeli. — złościł się Wierzbicki. — Zobacz co za panika. Mam wrażenie, że wieja wszyscy na całego. Co za beszczelność tego policjanta! Jakim prawem, dlatego, że on chce jechać, wyrzuca właścicieli z aut? Skandal. Granda! —

Jerzy wskazał na bruk pokryty warstwą spalonych papierów:

— To nieomylny znak, że trzeba jechać dalej. —

Stefan uśmiechnął się ironicznie:

— Tak to oznacza. że dokumenty spalone., a całe bractwo już dało dęba. —

Kręta, polna droga, biegnąca od Zaleszczyk do Kut równolegle prawie do granicy rumuńskiej, była pusta i cicha. Nic nie wskazywało na to że należy ona do kraju, na którego ziemiach toczy się wojna. Domki i chaty przydrożne wygrzewały się w promieniach jesiennego słońca, wszystkie całe nienaruszone. Wieśniacy z pogodnym obliczem krzątal i się po zagrodach a dzieci brudne i umurzane biegały beztrosko.

— Tu jeszcze spokój — skonstatował Stefan.

Po dniach jazdy wśród nieustającego huku dział, grzechotu karabinów maszynowych i eksplozji bomb, wśród trupów, krwi i ran, ta cisza wydawała się niesamowita. Wisiała nad południowym skrawkiem Polski zawieszona na niewidzialnej sile spokoju.

Nigdy zapewne Kuty — mała, wypoczynkowa, piękna miejscowość — nie mieściły w swoim obrębie takiej ilości

dygnitarzy. W końcowej fazie wędrówki i wzjemnego łapania się po wszystkich możliwych miastach i miasteczkach, zjechali się dostojnicy srodze znużeni długotrwałością jazdy i rozlicznemi niewygodami. Wszelakie rasy piesków uwiązane na rożnokolorowych smyczach strzegły zazdrośnie limuzyn swoich panów, lub przechadzały się po ulicach w towarzystwie swoich pań. Wille zaroiły się od wytwornych gości, a urzędy i ministerstwa szybko przygotowywały się do sprawowania odpowiednich funkcji. Sielanka zapowiadała się znakomicie, tymbardziej, iż tubylcy twierdzili zgodnie, że dotychczas ani jeden szmolot nieprzyjacielski aniteż przyjacielski nie przeleciał przez błękitny obszar nieba. Pomyślne wieści z frontu waliły nieprzerwaną falą, nadziewając zacne głowy mężów stanu dość pokaźną dozą optymizmu.

Filuś Dziembowski biegał za swoim brzuchem okrutnie zmoczony we własnym pocie, będąc na każdy rozkaz swojego zwierzchnika. Dwoił się troił, obcałowywał wszystkie napotkane po drodze ręce pięknych dam, prawił komplementy, zapewniał o rychłym zwycięstwie i całkowitym rozgromieniu wroga i raz w raz wybuchał głośnym, długotrwałym śmiechem.

Czarnocki z prawdziwem zadowoleniem odnalazł swojego viceministra.

— Nareszcie pana widzę — wykrzyknął viceminister na widok Jerzego — Niech pan siada i mówi co słychać nowego? —

Czarnockiego zaskoczył zarówno niezwykle serdeczny ton viceministra jak i jego przedziwny rodzaj pytania.

— Co słychać nowego? — usmiechnął się uprzejmie Jerzy — To pytanie, na które odpowiedź spodziewałem się usłyszeć od pana, panie ministrze. —

Dygnitarz machnął ręką i poczęstował papierosem:

— My proszę pana nic nie wiemy. — mówił nerwowym głosem — Nic absolutnie. Nam się tylko może coś zdawać albo śnić. Nie mamy żadnej łączności z wojskiem. Jeżeli bomby lecą nam na łeb to znaczy, że nas bombardują, a jeżeli nie lecą to znaczy, że nas nie bombardują. Moi koledzy zapewniają, że wszystko jest znakomicie, generałowie, którzy się tu krzątają robią głupie miny, a rezultat taki, że aż do Kut musieliśmy zawędrować. —

— Słyszałem, że alianci przerwali linję Zygfryda — wtrącił Jerzy.

— Przerwali, albo nie przerwali — odrzekł viceminister — Ani ambasada francuska ani angielska nie potwierdzają tej wiadomości. Gdybym panu chciał powtórzyć wszystko co słyszałem przez całą tą drogę, to by napewno panu głowa spuchła i wkońcu zwarjowałby pan. Przecież każdy mówi co innego. Ostatecznie w oczekiwaniu dalszych wypadków zdecydowaliśmy tutaj rozpocząć urzędowanie. —

— Czy wszyscy urzędnicy naszego ministerstwa przyjechli ? —

— Panie — wzruszył ramionami viceminister — mówię pa — nu, że nic absolutnie nie wiem. Nikogo jeszcze nie widziałem prócz pana i Dziembowskiego, który lata jak obłąkany i robi taki gwałt, że trudno wytrzymać. Z Warszawy przecież miał odejść specjalny pociąg ewakuacyjny z naszym ministerstwem. Czy odszedł diabli go wiedzą. Niech pan będzie łaskaw przyjść do mnie jutro, to postaram się już coś wiedzieć konkretnego. —

Viceminister przeszedł kilkakrotnie po pokoju i usiadł w najwygodniejszym fotelu :

— Za stary już jestem na takie ekspedycje. Męczę się bardzo. Może nareszcie tutaj będzie można odetchnąć swobodniej i trochę wypocząć. —

Ten dzień, jak wszystkie inne, z wczesnego poranka przeszedł w okres południa aby następnie po przez zmrok i wieczór zapaść się w otchłań ciemnej nocy. Nim jednak zdołał przejść wszystkie fazy swojego istnienia, ruch niezwykły dał się zauważyć na ulicach Kut.

Na ziemi ani na niebie nie pojawił się żaden znak ostrzegawczy przed grożącem niebezpieczenstwem. Tylko cichy szept podawany z ust do ust przebiegał między ludem jak złośliwy zgrzyt tragedji, nabierał siły, aż zamienił się w zwięzły okrzyk rozpaczy :

— Sowiety ruszyły ! ! —

Jerzy i Stefan nadziali się na biegnącego po ulicy Filusia Dziembowskiego. Był przerażająco blady i sapał okrutnie :

— Dsiś w nocy — mówił, ciężko dysząc — Bolszewicy zaatakowali nas od wschodniej granicy. Idą szybko naprzód. Wszyscy potracili głowy. Jesteśmy okrążeni. —

Czarnocki spojrzał na rynek. Ruch panował niezwykły. Walizy, rzeczy, bagaże przenosiły postacie ludzkie i układały je na wytrzymałe kadłuby autobusów.

— Co to znaczy? — zapytał Jerzy.

— To? — wskazał Filuś ręką autobusy.

— Tak to. —

Dziembowski opuścił swoją łysą głowę zlaną kroplistym potem i powoli przesunął rękę w kierunku Rumunji:

— To tam . . . —

Po tych słowach sekundy ciszy wydały się wiekiem. Nagle rzeczywista prawda stanęła oko w oko, twarz w twarz i rozwiała resztki złudzeń.

Filuś ocknął się pierwszy:

— Panowie muszą też jechać tam . . . Taki jest rozkaz. —

Jerzy uścisnął serdecznie dłoń Dziembowskiego:

— Do zobaczenia . . . —

— Zostaję! — zawyrokował Wierzbicki.

Czarnocki nic nie odpowiedział. Robił wrażenia człowieka, który nagle wszystko utracił co najdroższe i najbliższe i usiłuje sobie zdać sprawę z ogromu nieszczęścia.

Stefan przechadzał się po dwuch małych kwadratach wąskiego chodnika:

— Przewidziałem wiele, ale nigdy nie myślałem, że to może nastąpić. Nigdy! Przenigdy! Zawsze mówiłem, że Polska ucierpi bardzo bo ma doczynienia z barbarzyńskim wrogiem. Ale to . . . niewiarogodne. Jerzy! — szarpnął za rękę Czarnockiego — ocknij się i słuchaj co mówię: ten kataklizm co nasz kraj nawiedza jest rezultatem błędów. Trzeba znaleść winnych. Trzeba ukarać łotrów, aby przyszłe pokolenia wiedziały, że zguba własnej ojczyzny nie mija bezkarnie. Trzeba wyłowić bandę co jest bez sumienia i wiary, zniszczyć ją, zetrzeć na proch i dać szakalom na pożarcie. Niech giną niesławne psy! —

Czarnocki poruszył się:

— Chodź. —

— Dokąd? —

Na smutnej, przygnębionej twarzy Jerzego pojawił się uśmiech rezygnacji:

— Spełnić rozkaz —

— Rozkaz? — zdziwił się Stefan.

— Tak . . . rozkaz . . . —

Mała, kręta rzeczka przebiegała lśniącą linją, dzieląc Niepodległą Polskę od Niepodległej Rumunji. Srebrno-błękitny strumień wody leżał wśród zieleni jak pas wolności, zgody

i braterstwa. Most z drzewa, skromny, wiejski most biegł ponad wodą, znacząc się żółtym kolorem farby.

Właśnie po tym moście sunął długi, niekończący się sznur samochodów.

Jechali . . .

Mijali chybocząca sie na wietrze polską chorągiew — ostatni punkt kontrolny Rzeczypospolitej i stawali na ziemi rumuńskiej.

Czsami strzał wświdrowywał się swoją dziwną mową w stan ogólnego skupienia i przerywał pasmo czyjegoś życia.

Jakaś postać kobiety załamała się nad trupem mężczyzny. Nie chciał żyć dalej . . .

Czarnocki wysiadł z auta i utkwił wzrok swój w stronę Ojczyzny. Stefan załatwiał tymczasem formalności z posterunkiem rumuńskim.

Na niebie pojawiły się ciemne sylwetki samolotów. Zatoczyły krąg nad polską ziemią, zniżyły lot i przeleciały nad głowami emigrantów. Oczy podniosły się wgórę, ręce posłały pozdrowienia :

— Polacy ! —

Jedenaście starych maszyn szkolnych wiozło garstkę lotników co czekali na bombowce . . .

Jerzy stał nieruchamo zapatrzony w kontury Polski. Szare domki Kut ciemniały coraz bardziej w świetle gasnącego dnia. Czerwony odblask zachodzącego słońca układał się plamami na sklepieniach niebieskich. Przestrzeń nieba rozpościerała się nad skrwawioną ziemią.

— Tam jeszcze walczy nasz żołnierz pomyślał Jerzy — jeszcze dokonywuje cudów waleczności. Jeszcze zwycięrzy . . . —

Chore serce biło coraz bardziej nierów no, chybotało się jak liść zdany na łaskę wichrów.

— Pan płacze ? — zapytał cicho, nieśmiało kobiecy głos.

Ujął rękę Danuty w rozpalone gorączką dłonie i ścisnął raptownie.

Obraz matki pojawił się dokładnie. Była spokojna jak zwykle :

— Błogosławię cię synu. Zwycięrzymy . . . —

* * * * * *

"Tu mówi Warszawa druga" . . .

W głośniku radiowym zagrzmiały działa.

— Warszawa — szepnął Jerzy.

— Tak — kiwnął głową Wierzbicki.

". . . Nadajemy komunikat. Dzisiaj od wczesnych godzin rannych ciężka artylerja niemiecka ostrzeliwuje miasto. Pociski podają wszędzie. Niszczą domy mieszkalne, szpitale i kościoły. Duże eskadry bombowców nieprzyjacielskich dokonywują nalotów. Jest wiele strat w ludności cywilnej. Po dwudziestu dniach i nocach walk jakie prowadzi stolica z brutalnym i barbarzyńskim najeźdźcą, zapasy zarówno amunicji jak i żywności są na wycerpaniu. Brak wody i elektryczności. Bomba trafiła w elektrownię. Zamek królewski ciężko uszkodzony, Belweder i Opera w ruinach. Pomimo coraz gorszej sytuacji, trwamy oczekując pomocy . . .

". . . tu mówi Warszawa druga . . ."

Armatnie pociski przelatują ulice i grzęzną w murach. Walą się piętra, spadają dachy, ktoś oparty o kupę gruzów woła pomocy.

To ranny.

Jerzy najwyraźniej widzi jak krew spływa z ran.

Pod domami przemyka się skulona postać kobiety. Coś niesie. To trup dziecka. Zakopie go na trawniku pod gradem kul.

Bomby spadły na szpital. Kto żyw pędzi ratować. Zbierają kości i resztki ludzkiego ciała. Nagle okrzyk:

— Bomba! —

Świst przeraźliwy. Chybił. Pali się sąsiedni dom. Pożarów nikt nie gasi bo niema wody.

Stary, siwy doktór wydaje rozkazy:

— Nieboszczyków nie ruszać. Zbierać rannych. Trupy potem. —

Nie dokończył. Odłamek pocisku prześwidrował mu czaszkę. Upadł martwy.

Skwery i parki pokryte mogiłami. To groby z pierwszych dni walki. Teraz już nikt nie chowa. Niema czasu. Trupy rozkładają się i śmierdzą na ulicach.

Grupka ludzi. Pochylają się nad ziemią. Coś mówią przyciszonym głosem. Rozchodzą się. Pozostał szkielet zdechłego konia. Zabierali resztki miesą.

Domy w gruzach. Pod gruzami, w piwnicach siedzą ludzie. Bladzi, spokojni, uśmiechnięci :

— Wytrwamy ! —

. . . Tu mówi Warszawa druga . . .

Żołnierze walczą jak lwy. Podpalają tanki, niszczą wroga. Wróg wdziera się w ulice przedmieść. Ponosi ciężkie straty. Ludność pomaga wojsku. Stawiają barykady.

O ! Tam na prawo ! Pietnastoletni chłopak dźwiga żelazne łóżko. Niesie, taszczy. Będzie zapora przeciwtankowa.

Na lewo pieśń :

"Jeszcze Polska nie zginęła . . ."

Czarne czeluście gruzów i szkielety domów słuchają.

Śmierć hula. Szaleje. Pędzi. Leci.

Aleje Ujazdowskie, Królewska, Praga, Wolą, Mokotów Żolibórz, Marszałkowska . . .

Znowu bomba.

Wieczne odpoczywanie racz dać im Panie . . .

Miasto gigantów, miasto bohaterów !

Na czele stoi bohater. Przejasna postać krwawych dni. Pozostał. Walczy. Żelazny Prezydent.

Brak amunicji. Jedzenie to głupstwo.

Szał walki ogarnia wszystkich.

Krzyż strzaskany pociskiem spada z wierzycy kościelnej. Ksiądz spowiada rannych. Leżą na bruku.

Pierścień pożarów powiększa się. Płonie pół miasta. Dym, okropny dym wdziera się w gardło, nos i oczy, tamując oddech.

— Wytrwamy ! —

Ostatnie pociski sieką nieprzyjaciela. Lufy armatnie stoją bezczynnie.

— Broni ! —

. . . tu mówi Warszawa druga . . .

Stolica stawia nieśmiertelny pomnik męstwa i chwały.

Wszystko w gruzach.

Ciemno.

Strumienie krwi bryzgają w niebo.

Nikt nie je. Niema co jeść. Nikt nie pije. Niema co pić.

Walczą . . .

. . . tu mówi Warszawa druga . . .

Jerzy ocknął się. Powiódł półprzytomnym wzrokiem po ścianach pokoju:

— Gdzie jestem? —

— W Rumunji — odpowiedział Stefan.

* * * * * *

Pociąg z impetem biegł po cienkich pasmach żelaznych szyn, zdążając w pośpiechu do granicy francuskiej. Wygodne poduszki drugiej klasy paryskiego expressu kołysały podróżnych. W jednym przedziale dwaj mężczyzni z nieco zmęczonym wyrazem twarzy patrzyli przez szyby wagonu, ćmiąc papierosy.

Czarnocki pierwszy przerwał milczenie:

— Dojeżdżamy —

Wierzbicki kiwnął głową:,

— Zdaje się, że tak —

Był maj roku 1940. Niemiecka ofenzywa na zachodzie, rozpoczęta od paru dni, uderzyła z furją na Belgję i Holandję. Nikt nie wątpił, że na ziemiach tych państw rozegra się największa bitwa świata i zakończona zostanie ostateczną klęską Niemiec. Spece i znawcy, biorąc pod uwagę potęgę Francji i jej znakomite przygotowanie się do wojny, prześcigali się w obliczaniach i przepowiedniach na temat ewentualnego pogromu wroga. Powiew wolności narodów przybierał na sile z dnia na dzień. Zdawało się, że jarzmo barbarzyńczy trzaśnie lada chwila . . .

Po prawie dziewięciomiesięcznym pobycie w gościnnej Rumunji Jerzy i Stefan zostali zawezwani do Paryża na poważne i odpowiedzialne stanowiska. Cieszyli się bardzo, że danem im będzie oglądać wielkość Francji zblizka i brać udział w pracy nad budową nowego porządku. Jeszcze parę godzin jazdy, a przekonają się naocznie jakim powinno być państwo aby zwyciężyć, to państwo bratniego narodu francuskiego, w którego siłę i moc niezachwianą, całą swą nadzieję złożyły szerokie rzesze polskiej emigracji.

— Ach Francja! Kraj moich marzeń! — szły westchnienia z obozów koncentracyjnych, kazamatów i więzień.

— Potężna Francja!! Naród wolny, naród wielki!! —

błąkała się myśl Polaka, rozgorączkowane oczy biegły po linjach mapy a palec wskazywał drogi zwycięstwa, drogi powrotu do kraju.

Czarnocki po ostatnich przejściach roku 1939, ciągle niedomagał. Serce wymagało spokoju i ciągłego leczenia a noga coraz częściej odmawiała posłuszeństwa. Bóle stawów i połamanych kości były tak silne, że niejednokrotnie chodzenie stawało się niemożliwe.

Wierzbicki obarczony ciężką wadą serca, mawiał często:

— Wiesz Jerzy co nas łączy najmocniej? —

— Co? —

— Wspólna choroba serca. —

Stefan z uporem, maniaka przemykał się kilka razy dziennie pomiędzy stolikami kawiarni bukareszteńskich przesiadał się od jednych do drugich, nastawiał ucha i palił papierosy. W rozmowach zaklinał, że choćby ziemia miała się zapaść on z Bukaresztu nie wyjedzie. Ma już najzupełniej dosyć wszystkich podróży. Ale kiedy przyszło wezwanie do pracy uśmiechnął się swoimi szerokiemi wargami, kupił cztery walizy, załadował rzeczy, pomógł Jerzemu sprzedać samochód i oświadczył:

— Ostatni raz daję się namówić na te wszystkie bezsensowne jazdy. —

Danuta Szaniawska i Wacław Ślaski przebywali już od trzech miesięcy w Paryżu. Pisali, a zwaszcza Danuta, że jest dobrze i żeby przyjechać jaknajprędzej.

Czarnocki lubił patrzeć na ciemne, piękne oczy Szaniawskiej na jej delikatną cerę i subtelną sylwetkę. Ona w swych częstych spojrzeniach nie kryła wyrazu wielkiej sympatji a może nawet czegoś więcej . . .

Jej łagodny ton głosu wpływał kojąco:

— Panie Jurku ja pana bardzo proszę . . . pan musi . . . —

Jerzy kochał naprawdę tylko Izę.

Wiadomości z kraju przychodziły rzadko ale były nieomylnym i jedynym znakiem, że najbliżsi przetrwali okropności walk i trwałą dalej.

Czarnocki błąkał się właśnie myślą po drogach Ojczyzny i ulicach Warszawy, kiedy pędzący pociąg zasapał się raptownie zwolnił i niemal niepostrzeżenie zatrzymał bieg swoich kół.

Wierzbicki porwał się na równe nogi i zgasił nerwowym ruchem papierosa :

— Jerzy ! ! Francja ! ! ! —

* * * * * *

Na granicznej stacji francuskiej w półblasku niebieskiego swiatła zamajaczyły sylwetki polskich mundurów.

Czarnocki nachylił się do ucha Wierzbickiego :

— Polskie wojsko ! ! ! —

Radość trwała krótko. Sylwetki mundurów okazały się żandarmami, którzy zakomunikowali rzecz nastepującą :

— Wszyscy Polacy wysiadać z rzeczami i do hali na prawo. —

Wierzbicki mruknął pod nosem niezrozumiałe przekleństwa w języku zbliżonym w brzmieniu do esperanta lub klątw hinduskiego fakira i potaszczył swoje cztery walizy, sapiąc przytem niesamowicie. Jerzy nadaremnie powiódł tęsknem spojrzeniem w poszukiwaniu tragarza i śmiałym tym występkiem naraził się jedynie na gniew żandarma z wąsami :

— Czego się pan ogląda ? Nie zatrzymywać się. Jazda naprzód ! —

Hala czy sala — jak kto woli — przedstawiała dość obszerną budę skleconą z drzewa i pomalowaną wapnem. Środkiem przechadzał się żandarm francuski z ponura miną dyktatora i rękami założonemi z tyłu. Na jego starym szpiczastym nosie sterczały okulary a jego szlachetna postać odziana była w zielone spodnie i niebieską, rozpietą bluzę, pamiętającą zapewne jeszcze czasy Naopleona.

Mniejwięcej po drugiej stronie owej budy stała mała budka, w której urzędował, świadomy swej odpowiedzialnej roli, przedstawiciel polskiej emigracji. Budka była ujęta w łagodne linje uroczej, trzeszczącej barjery z wąskiem przejściem pilnie strzeżonem przez czterech Polaków. Pierwszy z czterech o suchej twarzy, czarnym berecie i świdrującem spojrzeniu dał znak ręką, co oznaczało, iż chce mówić:

— Panowie ! Nie robić bałaganu. Przygotować paszporta.

Ustawić się w ogon. Podchodzić do biurka w kolejności ogona. Zachowywać się należycie, pamiętając, że znajduje my się na gościnnej ziemi francuskiej. Bagaże złożyć pod ścianą.

Pan w budce odbierał dokumenty, pieczętował je i chował do szuflady. Na paszportach Jerzego i Stefana postawił wprawdzie rownież pewne znaki, przyjżał się im jednak z respektem, oddał je właścicielom i dodał:

— Wolni. —

— Przepraszam pana — zwrócił się Czarnocki do jegomościa w czarnym berecie — Co oznacza słowo "wolni"? —

— Wolni, znaczy wolni — odpowiedział zdenerwowanym tonem.

— Dobrze, a kto jest w takim razie niewolny? — zapytał łagodnie Wierzbicki.

— Panie!! —krzyknął właściciel suchej twarzy — Wolny, czyli taki co może jechać gdzie chce i robić co chce. Rozumie pan? —

Krzyk zwabił francuskiego żandarma, który zbliżył się wolnym krokiem i spojrzał spodełba:

— Qu'est ce qu'il y a? —

— Je non . . bon. . . bon . . . merci . . . — odpowiedział krzykliwy jegomość.

Czarnocki płynnie i gładko wyjaśnił żandarmowi o co rzecz idzie. Żandarm machnął ręką i odszedł:

— Toujours la meme chose. —

Stróżom trzeszczącej barjery wybitnie nie podobała się rozmowa Jerzego z Francuzem.

— Panowie się zatrzymają — orzekł wysoki pan w bronzowej marynarce i szepnął coś na ucho małemu panu w grantowym ubraniu.

Ten ostatni kiwnął głową na znak zgody:

— Absolutnie rzeczywiście. Trzeba sprawdzić. Proszę dokumenty. —

Pan w bronzowej marynarce zebrał natychmiast pozostałych trzech panów, poczem wydano orzeczenie, mocą którego paszporty powędrowały do kieszeni jegomościa w berecie a Jerzy i Stefan poproszeni zostali kategorycznym tonem o poczekanie na dalsze rozkazy.

Międzyczasie walizki znikły z pod ścian.

— Nieźle nas witają — zauważył Wierzbicki.

Formalności w budce zdawały się być ukończone i pan w berecie ponownie zabrał głos :

— Uwaga panie ! Wszyscy przechodzą na drugą stronę dworca i znowu w kolejności ogona maszerują do kancelarji. —

Kancelarja przypominała skrawek ciemnego korytarza podzielonego na dwie części. Z jednej strony siedziało ośmiu panów, wszyscy w czarnych beterach, trzymało pióra w garściach i wypisywało przeróżne hieroglify na arkuszach cierpliwego papieru. Z drugiej strony "ogon" przesuwał się w skupieniu i odpowiadał na pytania :

— "Imię . . . nazwisko . . . lat . . . obywatel . . . skąd przybywa . . ." — pierwszy arkusz wypełniony.

— "Imię . . . nazwisko , , . lat . . . zawód . . . przynależność państwowa . . ." — drugi arkusz gotów.

— "Imię . . . nazwisko . . . lat . . . cenzus . . . fachowiec czy nie . . ." — trzeci papier napisany.

— "Imię . . . nazwisko . . . lat . . . imiona rodziców . . . kawaler czy żonaty . . . ile dzieci . . ." — czwarty formularz nasmarowany.

Potem następowały trzy zaświadczenia, dwa zobowiązania jedno oświadczenie i cztery załączniki do dowodów — wszystko podpisane osobiście przez delikwenta, który stanowił składową wyżej wymienionego "ogona."

Teraz następowało krótkie przemówienie niezwykle wysokiego pana w binoklach :

— Panowie uwaga ! Słuchać dobrze, bo więcej powtarzać nie będę. Jutro o dwunastej w południe odjazd. O ośmej rano zbiórka na komisję lekarską. Kto chce może spać w hotelu a kto nie chce, śpi na kwaterze. Rzeczy zabrać ze sobą. —

Istotnie walizki znalazły się nieopodal kancelarji. Jakaś dobroczynna siła tu je przydźwigała.

Z nowoprzybyłych tylko Stefan i Jerzy udali sie do hotelu. Reszta zamieszkała w sąsiadujacej z dworcem stajni. Na podłodze rozrzucono garść słomy i wszyscy pokładli się jak przysłowiowe "śledzie w beczce". Tylko wybrańcy losu znaleźli miejsce w rozłożystych żłobach.

Zawiadowca stacji, odstawiając szklanicę z "vin rouge", oświadczył, że mimo najszczerszych chęci powiększyć kwatery nie może, bo w całem mieście jest tylko jedna wolna stajnia.

— Nie bardzo rozumiem — rzekł Czarnocki, siadając nareszcie w wygodnym fotelu — co to wszystko znaczy? —

— Zupełnie jasne — odparł Stefan . — Poprostu nie podobaliśmy się tym bałwanom w beretach i pomimo naszych zwolnień od służby wojskowej posyłają nas drogą, ktorą przechodzi każdy poborowy. —

— To ma swoje i dobre strony — zauważył Jerzy — Bo, po pierwsze: poznamy jaka to jest ta droga, którą wszyscy przechodzą, a po drugie: może dostaniemy się do wojska. —

Wierzbicki parsknął śmiechem:

— Gdyby takich jak my brali do wojska, to byłby szpital a nie armia. —

Ósma rano dnia następnego zgromadziła wszystkich w oznaczonym miejscu. Bereciarze, jak poprzednio, grali pierwsze skrzypce. Droga do lekarzy okazała się mokra i diablo ciemna. Prowadziła bowiem przez bagnisty tunel gdzie tylko wtajemniczeni przewodnicy mogli skakać z wdziękiem z kamuszka na kamuszek. Reszta, a zwłaszcza Czarnocki, powłuczący sztywną nogą, grzęźli w błocie po kolana.

Badanie odbyło się niezwykle składnie i prędko, wedle zasad sławetnego "ogona" i wszystkich zaproszono raz jeszcze do kancelarji. Międzyczasie Jerzy zdołał dowiedzieć się, że lekarze orzekli, iż ani on ani Wierzbicki absolutnie nie nadają się do wojska, ale, że muszą jechać dalej z transportem, bo ta komisja lekarska nie ma żadnych praw i jest tylko wstępem do innej komisji. Stefan natomiast przypadkowo zupełnie złapał jakiegoś porucznika Polaka, któremu wyjaśnił, iż celem ich podróży jest Paryż oraz przedstawił całokształt sprawy. Porucznik orzekł, że właściwie mogliby zupełnie spokojnie jechać wprost do Paryża, ale jeżeli już zaczęli z władzami wojskowemi to lepiej dokończyć. Tymbardziej, że wszystko pójdzie już teraz bardzo prędko. Stąd pojadą do następnego miasteczka gdzie urzęduje prawomocna komisja, która załatwi sprawę dosłownie w parę minut. Tylko podróż jest trochę uciążliwa, bowiem trwa od trzech do czterech dni, ale zato odbywa się w doskonałych warunkach.

— A jakaż jest odległość między miasteczkami? — zapytał zdziwiony Wierzbicki.

— Około trzystu kilometrów — odpowiedział porucznik — Ale trzeba kilkakrotnie się przesiadać, a obecnie ze względu na

rozpoczętą ofenzywę tory kolejowe są zapchane transportami. —

— Są jakieś wiadomości z frontu? — zaciekawił się Stefan.

Oficer skrzywił się:

— Niezupełnie dobre. —

— No chyba armia francuska da sobie z łatwością radę z Niemcami? —

— Naturalnie. —

Z promieniejących obliczy Francuzów łatwo można było się domyśleć, że wszystko idzie jak należy i tylko kwestja krótkiego zresztą czasu, a szala zwycięstwa przechyli się na ich stronę. Chodzili więc beztrosko, pomachując trzcinowemi laseczkami lub manierkami z winem:

— Mon vieux — mawiał jeden do drugiego — Allons! —

I szedł jeden "vieux" z drugim "vieux" aby chlać w roszkosznym spokoju.

Rozpięte mundury bez pasów i broni nie wyglądały wprawdzie bardzo bojowo ale na to nie zwracał nikt najmniejszej uwagi bo to należało do pewnego rodzaju szyku, tak zwanego "genre" 'u.

Czarnocki zmarszczył czoło:

— Wyobrażałem sobie trochę inaczej armię francuską. Chodzą rozchłestani, rozmemlani. Nie robią wrażenia dobrych żołnierzy. —

Wierzbicki zapalił papierosa:

— Podobno w boju są znakomici. Rozmawiałem na ten temat z jakimś Francuzem w hotelu. Mówił, że żołnierz walczy wspaniale. Pozatem, mój drogi, kto ma taką jak oni linję Maginot'a, to może chodzić rozpięty. —

— Linja Maginot'a nie obejmuje całości frontu. —

— Gdzie się kończy Maginot zaczyna się Gamelin i Reynaud — to na jedno wychodzi. —

Zegar stacyjny wybębnił dwunastą w południe. Zawiadowca stacji machnął jakąś rurą, przypominającą wyglądem pierwowzór dziecinnej trąbki, żandarm w niebieskiej bluzie zasalutował i pociąg ruszył.

Słońce prażyło niemiłosiernie, wdzierając się upalnemi promieniami do przedziałów trzeciej klasy, zajętych transportem Polaków. Jerzy i Stefan zasiedli na honorowych miejscach obok szefa ekspedycji. Pan szef, który nominację swoją otrzymał z rąk panów w beretach, nie władał językiem francuskiem,

wobec czego powołał do pomocy Czarnockiego i Wierzbickiego.

W przedziale znajdowało się jeszcze dwuch uczęstników podróży, jak się wkrótce okazało obywateli Warszawy.

— Sianowny pan z której ulicy? — zagadnął Jerzego warszawianin.

— Wiejskiej —

— Aaaa! Obznacza śródmieście. Ja z Woli. A pan panie siefuniu kochany skąd? —

— Ze Lwowa. —

— Ta joj!! — krzyknął drugi mieszkaniec Syreniego Grodu.

Szef spojrzał gniewnie, zdjął cyklistówkę i zapalił papierosa.

— O wiele pan nie z Warszawy — ciągnął pierwszy — to pan nie muzykalny. Obznacza, że pan nie zna przebojów. Posłuchaj pan te melodje. —

Piorunujące spojrzenie szefa nie speszyło bynajmniej muzykalnego młodzieńca. Nabrał pełne piersi powietrza i z całej siły uderzył w tony:

"Taaaan — goooo Miiii — looooon — ga,
Sie — fu — nio mój ko — cha — ny,
Tam go og — łąąąąąąą — da,
Sie — ef ko — cha — ny . . ."

Pierwsza strofka wywołała skrzywienie na twarzy szefa. Śpiewak nie bacząc na reakcję słuchaczy zmienił raptownie melodję:

— "Sie - dzia - ła pod cyp - ry - sem,
Ba - wi - ła się z tyg - ry - sem,
A Woj - tek jej po - wie - dział,
Że o tym nic nie wie - dział . . ."

Szef chciał coś rzec, ale pieśniarz zaopatrzył się w nową dozę powietrza i uderzył w sentymentalne tony:

— "Na - sza jest nooooooc
I o - prócz niej nie maaaaaaa - my niiic
I więęęęęę - cej naaaaam nie trze - ba . . ."

Tego było już zadużo. Szef zerwał się z miejsca. Twarz nabiegła mu krwią:

— Przestań pan do ciężkiej cholery — krzyknął.

Spiewak ucichł, usta wykrzywił w ironicznym uśmiechu, ukazując dwa spróchniałe zęby i wycedził:

— Znowuż niech szef nie będzie taki mocny. —

Atmosfera w przedziale stała się ciężką. Pieśniarz i jego kolega czuli się głęboko dotknięci wystąpieniem szefa, szef zaś z natury małomówny, milczał teraz uparcie, straszliwym wodząc wzrokiem.

Rozkład jazdy, który przewidywał pierwszą przesiadkę W Lyon, znakomicie ułatwił wybrnięcie z trudnej sytuacji dalszego przebywania w jednym przedziale.

Pociąg wpadł niebawem na rozległy dworzec, przebiegł powiklania szyn i stanął przed długim, wąskim peronem.

Szef wyszedł na korytarz wagonu i krzyknął doniosłym głosem:

— Ly - on! Wysiadać!! —

* * * * * *

Oficer francuski przeliczył przybyłych, przejrzał spis nazwisk i wskazał kwaterę, która mieściła się w podziemiach dworca.

Nawet po najdłuższych badaniach trudno było dociec do jakiego celu służyło to locum, obecnie kwaterą zwane, niemniej nie ulegało wątpliwości, że w obecnej chwili mieściło w sobie trzypiętrowe prycze, na których chrapali niemiłosiernie, pogrążeni w głębokim śnie, żołnierze. Ciemności rozpraszały trzy małe lampki umocowane na suficie, natomiast brudu i zaduchu żadna siła rozproszyć nie była w stanie. Pilnował tego osobliwego przybytku człek już niemłody, ubrany w granatowe spodnie, pasiastą koszulę i drewniane, szpiczaste pantofle. We wstępnej rozmowie oświadczył, że jest żołnierzem jeszcze z poprzedniej wojny. Jerzy ze zdziwieniem zmierzył go wzrokiem, nieznajdując na nim ani śladu munduru wojskowego. Nie wiedział jeszcze, że granatowe spodnie i drewniane pantofle stanowiły mundur żołnierzy francuskich "na codzień".

Stary wojak w dalszym ciągu konwersacji z wielkiem uznaniem odzywał się o wyczynach francuskich w poprzedniej wojnie, poczem wyciągnął z za pazuchy ostatni numer "Paris Soir."

Dziennik donosił, że, wprawdzie, Francuzi musieli się cofnąć, ale zrobili to nadzwyczaj składnie, zadając nieprzyjacielowi nieprawdopodobne straty . . .

— Brawo ! —

. . . no i, że linja Maginot'a jest nietknięta . . .

— Brawo ! ! —

Po długich i ciężkich cierpieniach udało się Wierzbickiemu dowiedzieć, że odjazd nastąpi gdzieś między piątą a szóstą rano, a więc za dwanaście godzin.

Cały transport zmęczony niemiłosiernie rozłożył się na drewnianych pryczach i wraz z szefem chrapnął znakomicie. Spał Murzyn obok Francuza, Francuz obok Negra a Negr obok Polaka.

Jerzy i Stefan usiedli na belce pod ścianą :

— Jak ci się podoba Francja ? — uśmiechnął się Wierzbicki.

— Jestem trochę rozczarowany. Nigdy nie myślałem, że tu taki bałagan — skrzywił się Jerzy.

— Przyznam się — mówił Stefan — że jak dotąd same nieprzyjemności. Co o nas pomyślą w Paryżu ? Powinniśmy już tam być a my tymczasem rozpoczynamy jakąć nową podróż w nieznane. Niech diabli wezmą wszystkie te jazdy. Przecież od dziewięciu miesięcy nic innego nie robimy tylko ciągle jeździmy. Ja mam tego już zupełnie dosyć. —

— Trzeba dać znać do Paryża — zauważył Jerzy.

— Poszlemy telegram —

Biuro informacji przy dworcu działało sprawnie :

— Gdzie jest najbliższy urząd pocztowy ? —

— Teraz urzędy są już nieczynne. —

— Skąd można telegrafować ? —

— Telegrafować niewolno. —

— A telefon ? —

— Telefonować niewolno. —

— A gdzie jest w takim razie najbliższy hotel ? —

— W hotelach miejsc wolnych niema. —

Czarnocki nie mógł wyjść ze zdziwienia :

— Co tu się dzieje w tej Francji ? Gdzie jest ów sławny porządek, ład i organizacja ? —

O świcie zjawił się zaspany oficer francuski i oświadczył, że ma polecenie przeprowdzić wszystkich do wagonu, który według wszelkiego prawdopodobienstwa odejdzie w najbliższych trzydiestu minutach.

Po przejściu kilkunastu torów w odległości dwuch kilometrów od stacji, znaleziono wagon, samotnie stojący na

bocznicy i cały transport zasiadł na drewnianych ławach trzeciej klasy.

— Jedziemy tylko trzy godziny — oznajmił szef — Potem przesiadka.

Wierzbicki ostatkiem sił dodźwigał swoje cztery walizy. Był blady i tak zmęczony, że długi czas nie mógł przemówić ani słowa. Jerzy, który już zdążył z trzech walizek przepakować do dwuch, poradził Stefanowi aby również zmniejszył swój bagaż.

W miejscu następnej przesiadki komendant dworca z najwyższem zdziwieniem powitał przybyłych. Oznajmił, iż nic mu nie jest wiadomo o takim transporcie i dłuższy czas przyglądał się intruzom z wielką nieufnością. Dał się jednak wkońcu przekonać, ale widocznie z nadmiary pracy, pomylił się diablo, bo załadował do pociągu idącego w przeciwnym kierunku i całe bractwo musiało okrężną drogą wracać aby dojechać do stacji objętej rozkładem jazdy.

W następnym punkcie zmiany pociągu zabrakło miejsc w kwaterze oraz miejsc w wagonach. Musiano więc czekać do rana, spacerując w poczekalni trzeciej klasy.

Kiedy już Czarnocki z trzech walizek posiasał tylko jedną (dwie zostawił, niemogąc dźwigać wielkiego ciężaru) a Wierzbicki z czterech, dwie — oraz kiedy wszyscy uczęstnicy tej niebywałej ekspedycji walili się ze znużenia, a sam szef błędnem wodził spojrzeniem, upragniona mieścina, miejsce przeznaczenia, zjawiła się piątego poranka (licząc od dnia rozpoczęcia jazdy) jak królewicz z bajki, jak księżniczka z kryształowego pałacu.

— Jesteś ! ! ! — jęknął Stefan i wyciągnął drżące ramiona w stronę miasteczka.

— Nareszcie — westchnął Jerzy.

Stare, grube mury więzienia rozsiadły się ciężkiemi blokami na pagórku, z którego staczała się głowna ulica miasteczka. Niewiadomo jakich przestępców mieściły ponure lochy i cele za czasów średniowiecza czy wczesnego odrodzenia, wiadomo natomiast, iż obecnie spełniały one rolę kwater dla polskich transportów.

Wewnątrz głownego budynku mieściła się "bawialnia" dla mniej groźnych złoczyńców, o małych, zakratowanych oknach, tkwiących gdzieś w pobliżu pułapu przez, których szczeliny wdzierało się niedyskretne słońce, rzucając swe blade sporzenia na wdzięczny krużganek, biegnący tuż pod oknami. Do czego

służył ów krużganek najstarsi ludzie nie wiedzieli, podając jedynie jako pewnik, iż powiesił się na nam hrabia de Bijou, jeszcze za czasów drugiej Republiki. Hrabia, ambitny młodzieniec popadł w ostry konflikt z ówczesnym rządem i został zato srodze ukarany.

Z dwu stron "bawialni" biegły ciemne korytarze, usiane gęsto żelaznemi drzwiami, za któremi znajdowały się cele. Niewątpliwie lingwista miałby szaloną radość, czytając historje i wyznania więźniów notowane we wszystkich językach świata na ścianach i murach więzienia. Przedziwne obrazy, fantastyczne postacie, alegorje i przenośnie — wszystko zręcznie odmalowane, zaliczyć należało do artystycznej strony budynku i oddać pod ocenę znawców w dziedzinie sztuki malarskiej.

Myliłby się ten, ktoby sądził, iż więzienie było jedynem miejscem zamieszkałem przez Polaków. Dla ich wygody i do ich użytku usłużny mer oddał jeszcze obszerny i straszliwie śmierdzący chlew, oraz wielką budę z dziurawym dachem i kamienną podłogą.

Stefan i Jerzy zamieszkali w celi na pierwszym piętrze. Już po paru minutach zdołali się dowiedzieć, że istotnie komisja lekarska urzęduje, ale nie codzień i w tej chwili trudno powiedzieć którego dnia zbiorą się zacni konsyljarze.

— Sytuacja beznadziejna — rozłożył bezradnie ręce Czarnocki.

— Twoja wina — burknął Wierzbicki — Trzeba było nie wdawać się w rozmowy z tym durniem w berecie. Teraz masz za swoje. —

— Nierozumiesz o co mnie chodzi — tłumaczył Jerzy — To, że tu siedziemy to jest głupstwo. Bo ostatecznie może nam się uda dostać do wojska, ale denerwuje mnie sprawa Paryża. Co oni o nas tam pomyślą?

— Proponuję pójść na pocztę — radził Stefan — Może zdołamy nadać depeszę. —

Wysiłki okazały się daremne. Urzędniczka pokiwała przecząco głową, oznajmiając, iż narazie komunikacje telefoniczne i telegraficzne są zawieszone. Smutną tą wiadomość ozłociła wprawdzie promiennym uśmiechem wykwitłym na jej szerokich, czerwonych wargach, ale to w niczym nie zmieniło ciężkiego położenia obu panów.

Spokojne życie miasteczka nie zakłócały żadne nadzwy-

czajne zdarzenia. Alarmy lotnicze nie zwiastowały obecności wrogich samolotów i były nadane jedynie kilkrotnie aby oswoić mieszkańców z niemiłym dźwiękiem syreny. Dzienniki przychodziły z trzydniowem opóźnieniem. Pełne były wiadomości z pola walki:

— ". . . Niemcy przeszli linje obronne i znajdują się na ziemi francuskiej . . ."

— Niewielkie nieszczęście — machnęła ręką pani Russaque właścicielka jedynej cukierni — W 1914 roku byli już pod Paryżem a jednak dostali wskórę. —

— Oczywiście — podchwycił pan Gaspard emeryt biura rurociągów — Dopóki nie zdobędą linji Maginot'a nie mogą zagrozić Francji. —

Tylko radio upiorne nadawało coraz smutniejsze pieśni i coraz krótsze komunikaty. Wystarczało jednak przekręcić mały guziczek a natychmiast milkł przeklęty głośnik, który usiłował zmącić harmonję życia uroczego miasteczka.

Pani Russaque chętnie dyskutowała na tematy wojenne, gromadząc wokół siebie najtęższych polityków. Aptekarz, żona mera, szef żandarmerji i jeszcze paru wybitnych speców co wieczór długie prowadziło rozmowy.

Nawet pojawienie się uchodźców belgijskich, holenderskich i wreszcie francuskich nie zdołało zachwiać powszechnego optymizmu.

— Niemców rozbijemy zupełnie! — unosił się stary Gaspard, rozpinając ostatni zapięty jeszcze guzik.

— Zwycięstwo jest pewne — zaciągał się dymem szef żandarmerji — Będę pierwszym, który zakuje Hitlera w kajdany i wystawi na widok publiczny. —

— Niech tylko sprobują zaatakować linję Maginot'a! — spojrzała w lustro żona mera.

— Brawo!! — hichotała pani Russaque.

— ". . . Arras zajęty przez Niemców . . ." —

Jerzy posmutniał wyraźnie:

— Przypomina mnie się wrzesień . . . —

— Moim zdaniem jest bardzo źle — ponuro oświadczył Stefan.

Czarnocki rzucił okiem na pierwszą stronę gazety:

— Cofają się ciągle .—

Poranek dnia następnego znacznie poprawił humory mie-

szkańców więzienia, dziurawej budy i chlewu. Nie zaszło wprawdzie nic coby wpłynęło dodatnio na bieg wypadków międzynarodowych, ale błoga wieść, iż komisja lekarska rozpoczyna badania obiegła lotem błyskawicy, wywołując zrozumiały szał radości.

Stefan promieniał:

— Nareszcie będziemy wiedzieli co dalej robić —

Doktorzy spojrzeli zpodełba na Czarnockiego i Wierzbickiego, pokręcili głowami, wzruszyli ramionami i zgodnie oświadczyli, iż niestety w wojsku służyć niemogą.

— Z takim zdrowiem jak panowie macie można być jedynie cywilami — rzekł stary lekarz w okularach.

Jakież było ich zdziwienie, kiedy dowiedzieli się, że ta komisja, aczkolwiek bardzo szczegołowo bada nie jest jednak pełnoprawną i, że trzeba stanąć jeszcze przed inną komisją ale już nie w tym, a w innym miasteczku.

Stefan oburzony w najwyższym stopniu, wygramolił się na pierwsze piętro trzeszczącej pryczy, ułożył się na wznak, tak, że mógł z łatwością obserwować widok snieżnych gór wymalowanych na niskim suficie i oświadczył krótko:

— Poddaję się. —

Jerzy usiadł na walizie, oparł głowę o zimną, wilgotną ścianę i stukał nerwowo nogą w kamienną posadzkę:

— A ja się nie poddaję. —

Doniosły głos szefa przerwał wkrótce dumania:

— Ci, że byli na komisji, do kancelarji. —

Przy stoliku na prawo siedział jegomość i pisał: . . . . . .

— Imię . . . nazwisko . . . lat . . . zawód . . . wykształcenie . . .

— Adwokat. —

— Z cenzusem czy bez? —

— Jeżeli jestem adwokatem to muszę mieć cenzus. —

— Ja się was nie pytam co wy musicie mieć, tylko się pytam co wy macie. —

— Mam cenzus —

— Adwokat z cenzusem . . . —

Jeszcze tego samego dnia wieczorem szef zebrał w "bawialni" wszystkich mieszkańców więzienia i w te ozwał się słowa:

— Co się tyczy planu, to jak następuje: ci, że zostali zbadani, niezależnie od wyniku, udadzą się jutro rano do miejscowości wskazanej i tam się zameldują. Oraz, co żeby pamiętali,

przed odjazdem śmiecie wynieść, menaszki wymyć, brudu nie zostawiać. Należy sprzątnąć szczotką, ścierką opylić i na glanc wyglancować. Zrozumiano? I jeszcze jedno: w nocy jak kto wychodzi na dwór lub za potrzebą, to niech się nie waży po drodze budynku zanieczyszczać ani drugiemu dowcipu robić. Takie wybryki będą surowo karane. Zrozumiano? I jeszcze jedno: myć się za kolejką, wodą nie chlapać i pamiętać co powiedziałem. Zrozumiano? —

Dwa towarowe wagony, cuchnące straszliwie zapachem bydła, otworzyły gościnnie swe podwoje.

Jerzy usiadł na podłodze i nogami machał w powietrzu. Stefan klął straszliwie bo w pośpiechu zapomniał najważniejszej walizki z ubraniami i bielizną:

— Będę przynajmniej miał mniej do noszenia — burknął przez zaciśnięte zęby.

Pociąg nie ruszał. Słońce wschodziło wolno, czerwoną plamą wyłaniając się z linji horyzontu. Dzień zapowiadał się upalnie. W krwawym odblasku słonecznych promieni tonęło uśpione miasteczko.

Spała pani Russaque i pan Gaspard, spała żona mera i szef żandarmerji, spali wszyscy wybitni politycy — spali w spokoju i pewności zwycięstwa. Tylko w szkole miejscowej i w sali probostwa uchodźcy z północnej Francji, wyrzuceni z domów i mieszkań, spać nie mogli. Ci już wiedzieli co potrafi przemoc barbarzyńcy.

Dzwony kościelne zawieszone w strzelistej wieżycy, zagrały.

Gdyby teraz obudziła się pani Russaque i wsłuchała się w ich pieść tak smutną . . . tak tragiczną . . .

Właśnie speaker radiowy mówił:

— Ici Paris . . . Niemcy po zaciętej walce posunęli się o dalsze dwadzieścia kilometrów w głąb kraju . . . wróg ponosi olbrzymie straty . . . bronimy się bohatersko. Esperons . . . —

* * * * * *

Na skrzyżowaniu głównych ulic była kawiarnia. Jej taras, przysłonięty dachem z pasiastego płótna, gromadził codziennie elitę towarzyską z całego miasteczka. Rano, kiedy słońce wyle-

wało obficie strumienie żaru, w południe, kiedy upał osiągał swój punkt kulminacyjny, czy pod wieczór, kiedy wiatr chłodnym powiewem łagodnie muskał rozpalone mury, pod płótnem, na tarasie, było gwarno i rojno. Bywalcy znali się osobiście albo z widzenia. Wiadomo było, że przy stoliku pierszym na lewo siedzi colonel Barmisson z pomarszczoną twarzą, wpatrzony w swoją młodą i wcale przystojną żonę, że obok niego zasiadają trzy najładniejsze panienki-podlotki, strzyżąc zębami i, rzucając powłóczyste spojrzenia, że nieco dalej — to stolik weterana — inwalidy i porucznika o dużych, piwnych oczach.

W cieniu owego tarasu Jerzy i Stefan spędzali wiele godzin, czekając na nową komisję.

W cichy i zda sie unormowany tryb życia kawiarenki wpadł pewnego dnia zgrzyt, który potęgował się szybko przybierał coraz większe rozmiary, stawał się wręcz nieznośny.

Zgrzytem tym było pojawienie się uchodźców.

Pomijając już fakt, iż zajmowali oni wszystkie bez wyjatku, stoliki, nierespecktując prawa pierwszeństwa colonela aniteż inwalidy-weterna, wnosili w atmosferę tarasu pewien rodzaj niepokoju i stanu podrażnienia. Ich ponure twarze, zasępione oczy i brudne ręce stwarzały przedsmak czegoś niedobrego.

— Źle się dzieje — kiwał smutnie głową porucznik.

Skrzyżowanie ulic, dawniej puste, dziś stało się ośrodkiem, sercem piekelnego zakrętu.

Początkowo piękne, dostojne, czarne limuzyny wiozły Belgów i Holendrów.

— Z Belgią niedobrze — mawiali tubylcy.

Potem ciężkie autobusy, tajemnicze ciężarówki, wreszcie rowery i konie.

— Holandja wywozi złoto — podawano sobie z ust do ust.

A następnie długi, niekończący się, stłoczony niemiłosiernie sznur francuskich pojazdów.

— Cofamy się — wzdychał colonel.

— Zwyciężymy — pocieszał inwalida.

Czarnocki i Stefan uzbrojeni w najwyższą dozę cierpliwości, doczekali się nareszcie komisji. Minęli szczęśliwie osiemnaście spojrzeń osiemnastu doktorów, dali się zmierzyć, zważyć, obstukać i obpukać, poczekali w ogonku cztery godziny i dowiedzieli się, że są niezdolni do służby wojskowej.

— Ale . . .

I tego faktu Wierzbicki o mało nie przepłacił życiem Nerwy nie wytrzymały. Dostał silnego ataku serca. Z trudem przyprowadzono go do przytomności.

— Ale — bezdźwięcznym tonem wyrecytował wąsaty kapral — musicie panowie jeszcze stanąć na jedną komisję złożoną z lekarzy francuskich. Badania odbedą się za tydzień. —

Ze wzgledu na zły stan zdrowia Stefana obaj panowie przenieśli się z wyznaczonej im kwatery — ciemnego, cuchnącego chlewu — do hotelu, którego okna wychodziły na główną ulicę.

Widać było jak po szerokości asfaltu dzień i noc, bez przerwy, suną fale uchodźców. Robiło to wrażenie jakiejś tragicznej pielgrzymki. Jechali i szli obładowani tobołami zmęczeni, zdezerwowani ale pewni zwycięstwa. Litr wina wypity gdzieś w przydrożnej knajpie umacniał znakomicie optymizm. Zwycięstwo przyjdzie, bo przyjść musi, bez trudu i wysiłku poprostu tylko dlatego, że Francja jest Silna, że Francja jest Mocna. To, co się w tej chwili działo, to jedynie skutek nagłego, niespodziewanego ataku nieprzyjaciela. Niemcy "zaskoczyli' Francuzów swoim wyczynem. Ale po wycofaniu się na pozycje obronne nastąpi kontratak, zagrzmią działa linji Maginot'a i . . . allons enfants à la maison !

Maginot jednak milczał uparcie a jego działa wycelowane wprost w Zygfryda nie mogły się obrócić aby prażyć Niemców, obchodzących fortyfikacje od strony wewnętrznej.

Głośnik radiowy nawoływał ciągle :

". . . confiance . . . patience . . . silence . . ."

Aż przyszedł taki dzień, w którym Paul Reynaud głosem pełnym wzruszenia powiedział :

— ". . . miracle . . . wierzę w cud . . ." —

Gazety wyszły w czarnych obwódkach a na pierwszych stronnicach widniał tytuł :

— "Paris reste calme" —

Nawet Sekwana nie wzburzyła swojej wody, nie wyrzuciła wściekłych, pieniących się fal, nie zagrzmiała głosem gniewu na swoich synów co tak bezkrwawo oddają stolicę. Płynęła cicho i spokojnie jakby brała udział w tej najstraszliwszej w dziejach uczcie, po której senność i chęć odpoczynku ubezwładniają zupełnie.

Louvre ,Łuk Triumfalny, Pola Elizejskie i Bulwary drzemały w absolutnej ciszy. Ulice puste, sklepy zamknięte, objęte

razszalałym żarem słońca, co w bezsilnej złości paliło gniewem. Czasami fale powietrza przynosiły słaby odgłos dalekiego strzału Ale Paryż nie drgał. Wiedział, że jest miastem otwartem. Żadna bomba nie spadnie na jego przewrażliwione jesteswo, żaden gruz ani zwalony monument sztuki nie zohydzą jego piękna, krew nie obryzga kamienic, żaden wstrząs nie otrząśnie pudru z jego twarzy, żaden brud nie usiądzie na jego delikatnych rączkach. Paryż jest zmęczony. Paryż chce spać. Paryż jest miastem otwartem . . .

Duży, drewniany stół nieprzykryty suknem dźwigał na prostokątnej płaczczyźnie wielką, otwartą księgą i stos luźnych, fruwających kartek.

Nad księgą siedział siwy pan w mundurze pułkownika francuskiego i obojętnym wzrokiem patrzył w przestrzeń. Trzy brodawki zdobiły jego olbrzymi nos a cztery inne wykwitały na obu policzkach. Wąsy koloru słomy (widocznie był kiedyś blondynem) zadzierżyście sterczały dogóry. Palcami prawej ręki wystukiwał takt skocznych melodji, a w lewej dzierzył grube, śmierdzące cygaro. Dwa zęby, które mu pozostały z ogólnej liczby trzydziestu dwuch, nie mogły zatamować strumieni śliny, kapiącej po obwisłych wargach.

Obok niego zajmował miejsce kapitan o suchej twarzy i czarym instrumencie w uchu. Widać upał dawał mu się mocno we znaki bo wkrótce po rozpięciu munduru, rozpiął koszulę i wachlował chustką swoją owłosioną pierś.

Przy drzwiach na zydlu tkwił żołnierz w rozchłestanej do pępka bluzie i drewnianych pantoflach. Skracał sobie czas dłubaniem w nosie. Na dany znak przez pułkownika drzwi się otworzyły i żołnierz wydał rozkaz:

— Allez! —

Długi sznur Polaków rozpoczął jedyną w swoim rodzaju defiladę. Szli kulawi, garbaci, chorzy, ślepi, suchotnicy, bez rąk, bez nóg, niemal że bez głów. Szli też: Jerzy i Stefan. Żołnierz pokrzykiwał w odstępach paruminutowych:

— Allez! —

A pułkownik machał cygarem:

— Apte . . . apte . . . apte . . . —

Kapitan z rurą w uchu skrzętnie notował wyroki super komisji, zwracając jedynie uwagę na niebezpiecznie chorych. Wtedy pułkownik Krzywił się straszliwie i mruczał:

— Inapte . . . —

Czarnocki, Wierzbicki — dwa skrzywienia szlachetnej twarzy konsyljarza i dwa razy słowo: "inapte."

Jerzy odetchnął z ulga:

— Nareszcie możemy jechać do Paryża! —

— Możemy . . . — uśmiechnął się ironicznie Stefan — ale nie pojedziemy. Spóźniliśmy się . . . —

— Jakto? —

— Bardzo zwyczajnie. Zabrakło dla nas biletów. Wszystkie wykupili Niemcy. —

— O czym ty bredzisz? — obruszył się Czarnocki — Przecież wczorajsze komunikaty donosiły ,że Paryż jest miastem otwartem. To znaczy, że nie posiada obiektów militarnych. Ale przed Paryżem biegną linje obronne. —

— Właśnie dlatego, że wczoraj był miastem otwartem — spokojnie klarował Wierzbicki — dzisiaj jest zamkniętem. Weszli Niemcy i zamknęli. —

— Biedna Francja . . . —

Siedzieli jak zwykle, jak codzień na tarasie kawiarenki pod dachem z pasiastego płótna. Stoliki były puste. Tylko porucznik o piwnych oczach tkwił i dumał.

Skrzyżowanie ulic opustoszało również i utonęło w dziwną, przejmującą ciszę. Czasami jeszcze przemknął jakiś cyklista lub przesunał się wóz zaprzężony w zmęczonego konia.

Colonel zabrał swoją młodą żonę i wyjechał. Inwalida znikł, podlotki zapadły się pod ziemię. Wystraszone, przekrwione oczy właścicielki kawiarenki coraz częściej zwracały się w stronę północnej szosy.

— Niemcy zbliżają się . . . —

— Co robimy? — zagadnął Jerzy.

— Zostajemy —

Porucznik o piwnych oczach wstał i wolnym krokiem podszedł do Czarnockiego i Wierzbickiego:

— Excusez moi . . . panowie zdaje się są Polakami? —

— Tak —

Oficer usiadł:

— Armistice . . . zawieszenie broni . . . Chcę powiedzieć parę słów. — oparł głowę i zmarszczył czoło — Znam was Polaków dobrze. Byłem parę lat w Polsce. Znam was jako ludzi codziennego życia i znam was jako bohaterów z pola walki.

Biliście się zawsze jak przystało na wielkich żołnierzy. Wasz krwawy wrzesień, kiedyście samotnie stawiali czoła wielokrotnie silniejszemu wrogowi, wasze bitwy w Norwegji a teraz u nas we Francji — to dostateczne świadectwo waszego męstwa. Zawiedliście się na nas . . . Wiem o tym . . . Dziś ginie Francja . . . a, ginąc nie troszczy się o was. Bolą ją zanadto jej własne rany . . . Ale nie myślcie, że giniemy dlatego, że nasz naród nie zdolny jest już do walki, że tracimy niepodległość, bo moralność nasza upadła — nie . . . My jesteśmy w pełni sił żywotnych, sił niewyzyskanych. Do ostatniej chwili naród nasz nie wiedział jaką jest prawda. Nie wiedział, że musi zdobyć się na heroizm, na gigantyczny wysiłek i zwyciężyć. Był pewien, że zwycięstwo przyjdzie samo . . . Nas zgubiła cenzura. Nas zgubiło zakłamanie. Prawda i wolność słowa zniknęły z horyzontu. A gdzie niema prawdy, tam niema zwycięstwa . . . Jedźcie stąd. Wam tu pozostać niewolno. Tu przyjdą Niemcy. Jedźcie i głoście słowa prawdy . . . Ja pozostanę . . . —

Dwie łzy spłynęły i potoczyły się po jego rękawie. Podniósł głowę :

— Vive la Pologne ! —

— Vive la France ! — odpowiedział Jerzy.

— Mais la nouvelle France — dodał porucznik i powstał.

Wśród szesnastu odznaczeń, które zdobiły jego pierś, widniał krzyż "Virtuti Militari".

Przemknął prędko przez pustą ulicę i znikł na pierwszym zakręcie.

* * * * * *

Portier hotelu, stary Francuz, w sztywnym kołnierzyku i czarnej muszce, zastukał do drzwi pokoju.

— Entrez — rzucił Czarnocki.

— Czuję się w obowiązku panów uprzedzić — mówił, drapiąc się po karku — że Niemcy są o trzydzieści kilometrów stąd. Prawie wszyscy już wyjechali z miasteczka. Ja jestem spakowany, zamykam hotel i za pół godziny wyjeżdżam. Proszę o zwolnienie pokoju. —

— Dobrze — odpowiedział Wierzbicki.

— Musimy jechać — zadecydował Jerzy.

— Dokąd i czem? — wzruszył ramionami Stefan.

— Dokąd? . . . W stronę portu. Tak jak wszyscy jadą. —

— Ciągle mówisz o jeździe, a zapominasz, że samochód swój sprzedałeś jeszcze w Rumunji. —

— To też uważam, że najprzód kawałek przejdziemy piechotą a potem ktoś nas podwiezie. —

— Daleko zajdziemy — zaciągnął się dymem Wierzbicki. — Ty na jednej nodze, a ja na dwuch ale nie bardzo pewnych. —

— Ładnie nas urządzili — pokiwał głową Czarnocki.

Stefan uśmiechnął się:

— Ale zato masz świstek papieru z napisem: "inapte". Pomyśl tylko tyle komisji już masz poza soba. —

— Tak . . . komisje mam poza sobą a Niemców przed sobą . . . —

Ostatecznie ze wzgledu na portiera, który niecierpliwił się coraz bardziej, postanowili, po krótkim namyśle, ruszyć w drogę. Rzeczy zostawili w hotelu, zabierając ze sobą tylko jeden najmniejszy neseserek.

Jerzy kulał okropnie, Stefan klął.

Szli wolno. Minęli skrzyżowanie ulic. Kawiarenka była zupełnie pusta. Dalej szary pas asfaltu prowadził już prosto, biegnąc w nieskończoność. Ostatnie domki miasteczka zniknęły i szerokie, rozległe pola, ujęły drogę w swoje ramiona. Zapach trawy i wiosennego kwiecia wpływał kojąco na obu panów. Godziny mijały, słońce miotało rozżarzone promienie, ciszy nie przerywał żaden warkot motoru, żaden huk, żadna detonacja. Pod wieczór na pustej dotychczas szosie pojawił się wóz drabiniasty wysłany słomą ,na której ośmiu zołnierzy francuskich leżało wygodnie, wesołe nucąc pieśni. Nie zwrócili najmniejszej uwagi na znaki jakie dawał Jerzy.

Szli więc dalej.

Minął dzień, minęła noc, minęły trzy miasteczka, drogi zaludniały się coraz bardziej, pojazdy przesuwały się coraz częściej, a im ruch stawał się większy, tym nadzieja rosła na znalezienie miejsca w jakimś samochodzie lub innym wehikule.

Tempo marszu spadło znacznie. Niegolone twarze pokryte grubą warstwą kurzu, brudne, przepocone koszule i popielatego koloru buty, świadczyły wymownie o przebyciu długiej drogi i były niewątpliwym wyrazem okropnego znużenia. Jerzy

ułamał gałąź i opierał się o nią całym ciężarem, idąc już teraz dosłownie na jednej nodze.

— Wyglądasz jak kaleka, który odbywa pielgrzymkę, do świętego miejsca. — zauważył Wierzbicki.

— Obym tylko doszedł — westchnął Czarnocki.

— Dobrze, że używasz teraz wyrazu "doszedł", a nie "dojechał" — tak jak mówiłeś dotychczas. —

— Nie tracę nadzieji na jazdę. Im tłok będzie większy na drodze, tym wolniej będą jechać samochody i tym łatwiej będzie można coś znaleść. —

— Naprawdę — mruczał Stefan — najznakomitszy z ciebie teoretyk i optymista jakiego znam. Narazie, za nim zabierze nas twoja wymarzona karoca, czy limuzyna, proponuję odpocząć. —

— Jak siądę, to nie wstanę. —

— Ładny kompan. Niema co mówić. Ciekawy jestem kto kogo będzie ostatecznie nieść. —

Przechodzili właśnie obok resztek czerwonego samochodu, krwawiącego swoją znakomitą barwą na trawie przydrożnego rowu.

— Patrz — zatrzymał się Wierzbicki — Tu się ktoś rozbił dokumentnie. Ale my z tego skorzystamy. —

— W jaki sposób? —

— Sposób jest bardzo prosty, siadamy na wspaniałej skórze purpurowego siedzenia, które jak widzisz spoczywa obok połamanych kół i resztek motoru, udajemy rozbitków i wzywamy pomocy. —

— Brawo! — wykrzyknął Jerzy — Myśl znakomita. —

Usiedli.

Jerzy machał gałęzią a Stefan neseserkiem. Samochody pełne ludzi i rzeczy, przejeżdżały mimo, niezwracając najmniejszej uwagi. Czasami oczy kobiece rzuciły wyraz współczucia. Wozy skrzypiące przesuwały się obok, szczęśliwe, że mogą wykazać swą wyższość nad zmechnizowanem pojazdem. Woźnoca uśmiechał się ironicznie, kiwając głową z politowaniem.

— Źle — rzucił Wierzbicki.

— Źle — potwierdził Czarnocki.

— Ale, jakoże wytrwałość w zamiarach i moc w postanowieniach, bywają nagradzane i uwieńczone pomyślnym skutkiem, tak i tym razem upór i determinacja z jakiemi Jerzy i Stefan

tkwili na rozbitym samochodzie, przyniosły wkońcu miejsce w wymażonej limuzynie.

Limuzyną ta okazał się duży, ciężki kamion zapchany polskiemi żołnierzami.

Czarnocki, widząc zbliżających się Polaków, wygramolił się na szosę, podniósł gałąź i krzyknął:

— Hallo! Panowie! —

Na dźwięk polskiej mowy wóz się zatrzymał. Nastąpiła krótka wymiana zdań:

— Panowie dokąd? — zapytał szofer ciężarówki.

— Do portu — odpowiedział Wierzbicki.

— I my do portu — wtrącił żołnierz o rumianej twarzy.

Szofer kręcił głową:

— Miejsc niema —

— Znamy dobrze drogę i język francuski — tłumaczył Jerzy młodemu żołnierzowi. — Możemy wam się przydać. —

— Wicek — krzyknął żołnierz do szofera — Musowo panowie jadą z nami. Umieją parlować i znają kierunem. —

— Dobra jest — zawyrokował kierowca — Jeden niech siada na prawym błotniku, drugi niech stanie na skraju prawego stopnia. —

Wszyscy zajęli swoje miejsca. Oba zderzaki, błotniki, stopnie i dach ciężarówki pokryły się żołnierzami i ruszono w drogę.

Stefan zapomniał zabrać neseserka. Kapelusz i palto zgubił jeszcze na pierwszym postoju.

Pęd był szalony. Szofer pokazywał wszystkie najbardziej wyszukane kunszty jazdy kawalerskiej. Wpadał z furją w zbitą masę samochodów z rozdzierającym rykiem klaksofonu, mijał zdumione twarze gawiedzi, zakręcał ciężarem wozu, wyczyniał cyrkowe sztuczki. Jerzy usadowiony na prawym błotniku obejmował maskę samochodu, tulił się do jej zielonej powierzchni jak do najczulszej kochanki. Kiedy kamion bujał się zanadto i pasażerowie na dachu czuli się niepewnie, wtedy odzywały się głosy protestu:

— Te, Wicek wolnego! —

Stefan stał na stopniu i głowę wetknął do kabiny szofera obok, którego siedziało jeszcze trzech żołnierzy:

— Panowie już długo są w drodze? —

— Sporo — machnął ręką żołnierz o siwych włosach i cie-

mnych oczach — Byliśmy już w Bordzie ale jeden lebiega nam źle wskazał drogę i zbłądziliśmy. —

— Jak pan myśli, przyjdą po nas te okręty z Anglji? — wtrącił się żołnierz z zabandarzowaną ręką. —

— Myślę, że przyjdą — pewnie odpowiedział Wierzbicki.

— Oj Wicek! — śmiał się siwy o ciemnych oczach — Jak Angliki nie przyjadą to będziesz bracie bidny. Mówiłem jak byliśmy w Bordzie, rzucić maszynę, w motorówke i gaz. I niech nas gonią. Dojechalibyśmy do Anglji też. A tak to co? Cholera wie co będzie? —

— Dobrze będzie — lekcewazącо odparł szofer — Najważniejsza żeby teraz drogi nie zmylić. —

— Jedziemy dobrze — upewnił Stefan.

Minęli dwa duże miasta. Wpadli na pagórkowaty teren. Szosa gładka, lśniąca wspinała się dogóry aby za chwilę stoczyć się szerokim pasem na dół, zakręcić, wyprostować się i biedz prosto do morza.

— Panowie sami, bez oficerów? — zdziwił się Wierzbicki.

— Bez — burknął siwy żołnierz.

Długi czas jechali w milczeniu.

Dach — pierwsze piętro — pędzącego demona z wysokości stanowiska, pierwszy czynił spostrzeżenia. Padały głośne uwagi. Nagle ktoś krzyknął:

— Morze! —

Pierwsze piętro zagrzmiało zgodnie:

— Morze!! —

— Morze!! — powtórzyły błotniki, przedni zderzak i stopnie.

— Wicek gaz! — ryknął lewy błotnik.

Wicek nacisnął pedał. Świst powietrza świdrował uszy. Wiatr wyciskał łzy, dławił, wstrzymywał oddech. Resory jęczały, motor warczał, klakson ryczał. Zdawało się, że rozpędzony wóz wpadnie we wściekłym impecie do wody, przepłynie morze, oceany i wyląduje na ziemi angielskiej.

— Wicek gaz! — ryczeli wszyscy.

* * * * * *

Błękitno-szaro-brunata tafla wody kołysała się w betonowych

ramach portowego brzegu. Duże, ciężkie, czarne kadłuby handlowych statków z dymiącemi kominami, opierały się o język wystającego mola. Stoki i dźwigi z tysięcy kół i żelaznych prętów sklecone, przesuwały się w tył i naprzód, obracały dookoła osi, zapuszczały swoje ramiona aż do wnętrza statków. Twarze marynarzy surowe i ogorzałe były wyrazem siły i woli.

Na to, zda się normalne życie portu, mało kto zwracał w tej chwili uwagę. Oczy wszystkich przybyłych tu Polaków patrzyły w stronę gdzie morze przechodzi w obszar nieba i zatraca linję swojego kresu. Ztamtąd miał nadejść ratunek.

Niebo pokryte grubą warstwą kłębiastych chmur, lało strumienie deszczu. Rozmokła ziemia otaczała betonowe brzegi portu od strony lądu i zanim przeszła w ulice miasta, kryła się się pod baldachimem niewielkiego lasu. W tym to lesie na mokrej, przesiąkniętej wilgocią trawie tysiące Polaków czekało pomocy. Kobiety, dzieci, wojsko i cywile. Jedno pytanie zawisło nad ich głowami, skrystalizowało się w przedmiot co ciężarem swej tajemnicy gniótł niemiłosiernie. Trwożne, zalęknione spojrzenia dzieci krzyżowały się z zatroskanym wzrokiem matek:

— Czy zdarzą? —

Od trzech dni, wygnani zawieruchą wojny we Francji, czekali na przyjście brytyjskich okretów.

— Niemcy idą . . . —

I znowu wzrok zmrużonych, zmęczonych oczu grzązł w otchłani chmur, świdrował horyzont, aby przejżeć jego zasłonę. Do uszu dolatywał jedynie szum morza co burzyło się pod wpływem wiatru i rzucało w bezsilnej złości grzywiaste, spienione fale.

Stefan i Jerzy z Wickiem szoferem i sześdziesięciu żołnierzami zamaskowali samochód w lesie i mokli okrutnie. Ubrania obu panów po dwudziestu czterech godzinach nieustannego deszczu upodobniły się do gabęk nasiąkniętych wodą co za najmniejszym naciśnięciem tryskały strumieniami. Niegoleni, niemyci od szeregu dni, pozbawieni snu i jedzenia, wyglądali jak dwie pokutujące dusze, co się przybrały w ludzkie ciała aby powiększyć ogrom swoich ciepień.

Żołnierze, twierdząc iż cywile to naród słaby ichory, roztoczyli opiekę nad Czarnockim i Wierzbickim. Drugiego dnia deszczu, młodziutki wojak o dziecięcej buzi przyniósł z tajemniczą miną dwa suche płaszcze wojskowe:

— Niech panowie to nałożą, bo inaczej rozmokniecie na fest. Nic z was nie zostanie. —

W chwilach wolnych od dyskusji na temat ostatnich wypadków, kwestji przyjazdu okretów angielskich i polityki międzynarodowej, organizowano wielkie wyprawy łowieckie, zapuszczając się daleko w głąb lasu. Przewodnictwo obejmował z reguły Wicek. Pod jego osobistym dowództwem grupki żołnierzy nikły w gąszczu drzew i krzewów. Trofea myśliwskie nie wyrażały się nigdy w formie dzikiego zwierza ani jeszcze dzikszego ptactwa, ale ograniczały się do puszki konserw lub paru sucharów. Czasami udało się zdobyć trochę wina lub wody do picia.

Żołnierze z uśmiechem przyjmowali gniew natury, szum wzburzonego morza, rozmokłą trawę, wycie wichru i jęk echa co szło po gałęziach, muskało liście, obijało się o konary drzew i ginęło gdzieś w przestrzeni. Na pytania kobiet odpowiadali głosem pewnym, silnym, znamionującym moc i postanowienie wytrwania.

— Pan z której dywizji? — pyta młoda blondynka, o zatroskanym wyrazie twarzy. — Nazywam się . . . czy nie spotkał pan może mojego męża? —

— Albo mojego ojca? — wtrąca, trzęsąca się, chuda postać, bladej szatynki.

— A brata? . . . —

— Syna? ? . . . —

Słowa pocieszenia padały z ust żołnierzy:

— Znajdą się. Nie trzeba się martwić. Polak tak łatwo nie ginie. Jak ich niema w tym porcie, to są w innym. Może już jadą do Anglji. —

W oczach pytających zapalała się iskierka nadzieji, jaśniał promyk radości:

— Może Bóg ich ocalił! . . . —

— Żeby tylko była broń — wzdychali żołnierze — kule, armaty, tobyśmy szwabom jeszcze tutaj bobu zadali. —

Czwartego dnia deszcz przestał padać.

Nie oznacza to bynajmniej, iż wiszące zwały chmur ulotniły się raptownie w nieznanym kierunku, odsłaniając uśmiech słońca i błękit nieba, ale poprostu woda przestała się lać na głowy zebranych w lesie ludzi, zawieszając swą czynność lania aż do odwołania.

Czarnocki w palcie wojskowym, z nastawionym kołnierzem, spacerował po samym brzeszku betonowego wału. Za nim przechadzał się Stefan.

Był ranek.

Wierzbicki opuścił głowę bardziej niż zwykle. Dawno nieczesane włosy opadły mu na czoło i nos, kołnierzyk ongiś biały, dziś koloru ziemi, tkwił mocą przyzwyczajenia na szyi, natomiast brakowało krawatu, który rozpuścił się prawdopodobnie w wodzie. Dym z mahorki, którą palił, dławił go straszliwie, wywołując ataki kaszlu:

— A okrętów jak niema, tak niema — rzekł, machając ręką.

— Przyjdą —..

— Tak. Specjalnie po ciebie i po mnie. Lepiej już było zostać w tej zakichanej mieścinie, aniżeli gnić tutaj jak nędzasz i wreszcie dostać się w rączki Niemców. —

— Cierpliwości. —

— Ależ królu optymistów, wielbicielu nadziei! — unosił się Stefan — Ciebie nie jest w stanie nic zachwiać w twoich wyimaginowanych projektach. Ty zawsze wierzysz w happy and i w swoją szczęśliwą gwiazdę. A tymczasem pozostała ci jedna dziurawa koszula, opadające spodnie i perspektywa jeszcze jednej jazdy, ale tym razem do niemieckiego obozu koncentracyjnego. —

— Są inne wyjścia —

— Skosztować wody morskiej? —

— A choćby! . . . —

— Dziwny z ciebie człowiek — wzruszył ramionami Wierzbicki — ze skrajnego optymizmu wpadasz w zamiary samobójcze. —

Niewiadomo dokładnie jak długo trwałaby powyższa dyskusja, jak również niewiadomo czy Stafen nie wpadłby do morza, spacerując coraz prędzej i, potykając się coraz częściej, gdyby nie fakt pozornie bez znaczenia a, który zaważył na dalszym ich losie. Oto nagle, cicho, prawie bezszelestnie wsunął się do portu mały, szary kontrtorpedoweic. Pokręcił się, zawrócił, gwizdnął i popłynął. Po paru minutach, dumnie wypuszczając kłęby dymu, wracał w towarzystwie trzech wielkich, białobronzowych okrętów. Flaga angielska, powiewająca na wszystkich tych dromaderach morskich przestrzeni, świadczyła wymownie o ich przeznaczeniu.

Wieść radosna przeleciała z furja po zakamarakach lasu, wydobywając na swiatłość dzienną z zarośli i moczarów blade i upiorne postacie ludzkie. Widać okrzyk szczęścia był bardzo silny bo doleciał aż do uszu Niemców, którzy natychmiast przysłali eskadrę bombowców. Wybuchy bomb mieszały się z grzechotem karabinów maszynowych, z hukiem dział i płaczem dzieci. Zagrała cała obrona przeciwlotnicza portu. Rozpoczęto ładowanie okrętów. Mała barka wypełniona po brzegi ludźmi odbijała od mola i, pykając, przykucała u podnuża któregoś z olbrzymów. Potem wracała pusta aby za chwilę odwieść nową partję uchodźców.

Tak wypadło, że Czarnocki i Wierzbicki ze swoją sześdziesiątką żołnierzy ładowali się ostatni.

Jerzy triumfował:

— Kto miał rację? Kto miał rację? — cieszył się jak małe dziecko.

Stefan usmiechał się pod nosem i nic nie odpowiadał. Palił tylko podwójną ilość śmierdzącej mahory.

— Teraz my! — poderwał się Wicek.

W mgnieniu oka wszyscy znaleźli się na barce. Marynarz z mostku gwiźdnął do mechanika, mechanik zadzwonił do maszynisty, barka drgnęła, zakołysała się, Jerzy szepnął:

— Ruszamy. —

Czarna załoga okrętu spuściła jękliwą drabinę-schody. Stefan po przejściu połowy jej wysokości zbladł nagle, machnął rękoma jakby chciał znaleść jakieś oparcie i objął kurczowo najbliższy stopień. Rzucono się na pomoc. Hindus chudy jak przysłowowy głód indyjski, złapał otyłego Stefana i rzucił nim jak piłką następnemu Hindusowi w czarnym rondelku na głowie i srebrnym, ciężkim łańcuchu na szyi. Po paru takich przeżutach Wierzbicki znalazł się na pokładzie. Czarnockiego podpierano ze wszystkich stron aby utrzymał równowagę na chuśtającej się drabinie.

Żelazne drzwiczki balustrady zamknęły się pchnięte ręką hinduskiego marynarza.

Okręt załadowany.

Pomimo paru tysięcy ludzi, znajdujących się na okręcie panowała cisza. Słowa z trudem prezchodziły przez gardło, usta wolały milczeć. Szczęście wyrwania się z rąk niemieckich

oprawców, przeżywano w skupieniu. Myśl rozpamiętywała dzieje dni ostatnich, dzieje dni wrześniowych.

Nagle z chmurnego nieba ozwał się jęk. Jęk motoru co przeszywa ze świstem powietrze.

— Pikuje ! —

Wszyscy padli na pokład.

Samolot naznaczony znakiem swastyki wyprostował swój lot tuż nad kominami okrętu i wypluł ładunek czterech bomb. Działko okrętowe i karabiny maszynowe zagrzmiały. Napastnik zatoczył koło i znikł w klębiastych chmurach. Tylko woda wzburzona żelastwem i dynamitem obryzgała pokład.

— Chybił —

Wierzbicki oparł się o balustradę :

— Niemcy nas żegnają —

Wiatr co przychodzi z bezkresu morza wiał coraz silniej. Ślizgał się po płaszczyźnie wody i wpadał do portu, ginąc w szumiącym lesie. Dzień zapadał się w pierwsze objawy zmroku.

Łancuchy poderwały ciężkie, czarne kotwice.

Czarnocki stanął obok Stefana i wsłuchał się w monotonny szum maszyn co znaczył ruch okrętu.

Brzegi portu, a w chwilę później brzegi francuskiej ziemi zacierały swoje kontury w mgławicy wieczoru, w perspektywie oddalenia. Rysowały się łamaną linją ciemnych znaków, tonąc w bezmiarze horyzontu. Aż przyszedł kres widzenia i tajemnicza natura rozpostarła swoją zasłonę.

Francja znikła.

Znikła z przed oczu opuszczajacych ją uchodźców w chwili, kiedy łapa najeźdzcy zaciskała na niej kajdany niewoli.

* * * * * *

Wody oceanu wzburzonym wałem wpadały na dziób okrętu, pieniąc się straszliwie. Tylko wprawni marynarze mogli utrzymać równowagę. Reszta, przy wszelkiej próbie spaceru waliła się komuś lażącemu na głowę, lub całym ciężarem deptała wystające nogi, stękającego delikwenta. Gęsto wisiały na barjerze sylwetki a raczej cienie bladych postaci. Ten i ów zrywał się

raptownie z legowiska i, zataczając kręgi, nikł za płócienną przegrodą, specjalnie wzniesioną dla wrażliwych i niewytrzymałych. Radzono sobie jak kto mógł. Handlowy okręt brytyjski, który udzielił gościny nie rozporządzał kabinami ani nie posiadał odpowiedniej ilości łóżek. Dno okrętu, pokład, wszystkie możliwie zakamarki, węgły i zaułki zamieniono na sypialnie. Nawet deszcz, który po pierwszym dniu podróży obfite lał strumienie, nie był w stanie spędzić snu ze strudzonych powiek pasażerów. Kto nie chorował, ten spał. Świadomość, iż beznadziejny okres oczekiwania minął, odprężała poszarpane nerwy, powodując senność i zobojętnienie. Nikt się nie zastanawiał nad tym co kryje w swoich głębinach bezkres wód, nikomu nie wydawało się możliwem aby nieprzyjacielska mina czy łódź podwodna trafiły na ślad płynącego okrętu.

Jerzy skulony, zawinięty w mokry płaszcz siedział na pokładzie obok Stefana. Zamknął oczy, oparł głowę, o zwinięte liny i dumał. Z zamazanych, niewyraźnych obrazów, szarych jak widnokrąg morski, wyłoniła się jasność i drgała na niewidzialnym ekranie filmu. Jasność przybrała kształty twarzy a potem postaci. Usłyszał wyraźnie głos matki:

— Trwamy. Zwyciężymy. —

Jej łagodny wyraz oczu malował się jeszcze chwilę i znikł w zgaszonej jasności.

Jerzy ocknął się:

— Zwyciężymy. —

Wiatr wyciągał swoje jękliwe tony i mącił wzburzone wody. Kilkanaście minut płynęli w milczeniu.

Stefan pogładził rozczochrane włosy:

— Zimno diablo. —

Czarnocki zatrząsł się:

— Brrr! Okropna wilgoć. —

— Ciekawy jestem — monotonnie cedził Wierzbicki — kiedy dojedziemy. —

— Już niewiele pozostało —

— Czego? —

— Mil morskich do przepłynięcia. —

— Skąd wiesz? —....

— Tak mnie się zdaje —

— Tobie — machnął ręką Stefan — zawsze zdaje się wszystko jaknajlepiej. Gładko, pięknie, prędko, cudnie. A tym-

czasem jest mokro, zimno i co najważniejsze zamiast dojechać do Paryża, jedziemy do Anglji. —

— Nie nasza wina —

— A czyja ? —

— Widzisz — mówił Jerzy w zamyśleniu — na ten temat możnaby napisać książkę, nawet dzieło. My dwaj jesteśmy tylko maleńką kroplą w oceanie wydarzeń i wypadków. Jesteśmy ogniwem łancucha który taszczy ludzkość od dawna. Łańcucha błędów. To, że myśmy nie dobrnęli do Paryża, to nie jest tylko suchy fakt niedojechania do miejsca przeznaczenia, ale to jest więcej — to jest widomy znak tego, że jest źle. Mechanizm nie odremontował się należycie. —

— Masz rację, nam trzeba przemian istotnych. —

— Naturalnie. Nie wystarczy zmienić ludzi. Trzeba zmienić systemy. —

— Trzeba zmienić gruntownie systemy — podchwycił Stefan.

— Uważam — ciągnął Czarnocki — że brak należytej organizacji, paraliżuje prawidłowy skład działania i postępowania. Wyjście z chaosu jest w tej chwili naszelnem zadaniem do spełnienia. —

— Tak. Ale pamiętaj, że chaos tylko wtedy zniknie, kiedy zatriumfują prawda, wolność słowa i myśli. Trzeba się pozbyć osobistych ambicji dla wyższych celów. —

— Zgadzam się. I sądze, że to jest rzecz do zrobienia. Po zupełnym zgnieceniu hitleryzmu i faszyzmu, powstanie nowy porządek. Będzie on zbudowany napewno na zasadach sprawiedliwości i prawdy. —

W tej chwili na rozkołysanym pokładzie okrętu zamajaczyła zabawnie gruba postać, ubrana w sportowe, kraciaste spodnie, kurtkę od pijamy i, ociekający wodą, melonik. Postać zatoczyła się kilkakrotnie rzucona siłą wzburzonego morza i wylądowała w okolicy lin, obok, których Czarnocki i Stefan prowadzili rozmowę.

— Niech mnie kule biją ! — wykrzyknęła gruba postać — Kogo widzę ? ! —

— Filuś ! — ryknął Czarnocki.

Dziembowski szalał z radości :

— Panie Jurku najdroższy — krzyczał — dawno już was pochowaliśmy i opłakaliśmy wasz pogrzeb. Pół Paryża nosiło

żałobę. Nasz szef, was czekał, pienił się, złościł, wymyślał a potem doszedł do przekonania, że coś się z wami stało i łzy krokodyle spłynęły z jego wyłupiastych oczu. Mówiąc nawiasem jest też na statku. Jak was zobaczy to padnie trupem. No ale jak można było coś podobnego urządzić? —

Wierzbicki usiłował tłumaczyć.

Niema tłumaczeń — machał rękami Filuś — Jeżeli was wzywa z Rumunji osoba tak wysoko postawiona jak nasz szef, to musicie się stawić na czas. Jakto? Robota niezwykle ważna i odpowiedzialna czeka, a tu chłopczyków jak niema tak niema. Telegrafujemy na posterunek graniczny, odpowiadają, że nic o takich panach nie wiedzą, dowiadujemy się we wszystkich naszych placówkach, wszędzie odpowiedź: "dotychczas nie przybyli." —

— Ależ drogi panie . . . — uspakajał Czarnocki.

— Najdroższy — sapał Dziembowski — tu niema usprawiedliwienia. Czy pan sobie wyobraża co myśmy stracili przez waszą nieobecność? Niewykłej wagi akta i dokumenty zostały, robota nie wykończona, bałagan powstał niesamowity — wszystko przez was. A wy sobie przez ten czas bujacie niewiadomo gdzie. Zapewne jakieś Francuzeczki . . . coś tego, owego . . . znamy się, znamy się . . . A to niebywałe! Tegom się po was nie spodziewał Skandal, skandal! . . . —

Kiedy Filuś zasapał się tak, iż przez parę minut nie mógł przemówić ani jednego słowa ,Jerzy przyszedł do głosu. W miarę jak snuł swą opowieść o ich ostatnich przejściach, fizys Dziembowskiego nabierał wyrazu coraz większego przerażenia. Pod koniec opowieści Filuś wybałuszył zdębiałe oczy i osłupiał kompletnie:

— Niemożliwe, niedowiary, nieprawdopodobne! — bełkotał.

— Tak, tak — potwierdzał Wierzbicki.

Dziembowski wyciągnął kraciastą, czerwoną chustę, obtarł kroplisty pot z czoła, przesunął melonik na lewe ucho i dyszał ciężko:

— Nigdy nie myślałem, że coś podobnego może się dziać na świecie. W takim razie jesteście wytłumaczeni. Tymbardziej, że, zwłaszcza pan, panie Jurku, musi się tłumaczyć nie tylko przed szefem, ale i . . . — tu okrągła twarz Filusia, która już, z wyrazu przerażenia, wróciła do normalnego wyglądu promieniejącego słońca, zajaśniała radością — i . . .

— Danutą — przemknęło przez myśl Jerzemu.

— . . . i — ciągnął Dziembowski — chwila cierpliwości, zaraz wrócę.

Potoczył się jak kula i po paru minutach wracał w towarzystwie Danuty i Wacława.

— Niech ich pani tylko nie łaje — głośno prawił — Osądziłem ich osobiście. Są niewinni. Siła wyższa . . . —

Szaniawska przyśpieszyła kroku. Jerzy powstał. Stanęła tuż przy nim:

— Boże jak pan wygląda? — Jej duże, bronzowe oczy rzuciły łagodne, czułe spojrzenie.

Czarnocki uśmiechnął się:

— Witam państwa —

— Tyle zmartwienia mieliśmy, przez was kiwał głową Ślaski.

— I żeby choć słówkiem dać znać co się z wami dzieje — skarżyła się Szaniawska.

Wierzbicki westchnął:

— Oooo Pani Danuto. Niech pani będzie pewna, że myśleliśmy o was ciagle.

— Taki pan niedobry — szepnęła, dotykajac lekko ręki Czarnockiego...

— Dlaczego? . . . —

— To bardzo bieładnie tak mnie martwić — uśmiechnęła się uroczym uśmiechem czerwonych warg, ukazując białe, piękne zęby. — Teraz będę pana pilnować . . . —

— Uwaga pogadanka! — donośnym głosem, z najwyższego pomostu, oświadczył oficer.

Wszyscy ucichli i zadarli głowy.

— Masz ci diabli kaftan — szepnął Filuś — Zaczyna się. —

Na pomoście ukazał się chudy cywil. Machnął ręką na znak, że chce mówić, nabrał powietrza, wydął wargi i zaczął:

— Zbliżamy się proszę państwa do Anglji. Za chwilę staniemy na brytyjskiej ziemi. Chciałbym państwa zapoznać z niektóremi zwyczajami angielskiemi i tradycją angielską. Anglja — to kraj tradycji wielowiekowych. Anglik rozpoczyna swój dzień od pracy. Wstaje wcześnie i zasiada do śniadania. Śniadanie czyli Breakfast . . .

— Czyli co? — ozwał się głos z tłumu.

— . . . powtarzam: czyli breakfast jest zazwyczaj bardzo

pożywne. Składa się z następujących części: jajko na boczku, befsztyk, lub owsianka . . .

Tu wygłodzeni słuchacze zaczęli łykać ślinę.

— . . . kawa ze znakomitą śmietanką, chleb, masło, marmolada i owoce . . .

Ślina lała się już strumieniami.

— . . . po śniadaniu Anglik udaje się do pracy i następny posiłek spożywa o godzinie pierwszej. Jest to tak zwany lunch W skład lunch'u wchodzą: zupa, danie mięsne i pudding . . .

Kiszki rozpoczęły rżnąć marsza.

— . . . wieczorem Anglik je tak zwany dynner, który . . .

— Dosyć z żarciem! — ktoś zaprotestował.

— . . . a więc omówiony teraz pieniądz angielski. Środkiem płatniczym jest Funt. Funt składa się z dwudziestu szylingów, a szyling dwunastu pensów. Pens oznacza się literą "D" . . . —

— Kogo on idzie bujać? — skrzywił się żołnierz, stojący obok Wierzbickiego — Wiadomo co oznacza "D" . . . —

W miarę jak mówca porwany oratorskim szałem zapuszczał się w tajniki tradycji angielskiej, badał historję i wysuwał wnioski, oktęt mijał zabudowania potężnego portu. Kiedy zaś głos prelegenta oznajmiał kierunek ruchu ulicznego i wreszcie ostrzegał przed całowaniem dam w rękę — zniecierpliwiony słuchacz krzyknął:

— Całuj psa w nos! —

Dalsze słowa zagłuszył wybuch śmiechu. Skoro się uciszono, mówcy już niebyło.

Maszyny okrętowe ucichły także.

Potężny handlowiec brytyjski, po ominięciu dwudziestu dwuch możliwości zatonięcia (tak oznajmił kapitan) stanął na kotwicy.

Duży nos Dziembowskiego poczerwieniał bardziej niż zwykle:

— Teraz można krzyknąć: Anglja, wysiadać! —

Pierwsi wyładowali się żołnierze. Ich maleńka grupka wybiegła składnie, szybko i stanęła w dwuszeregu. W następnej kolejce zeszli żandarmi. Tych było dużo. Bardzo dużo.

Wierzbicki wskazał "kanarków":

— Zdaje się, że gdyby każdy żandarm zaaresztował dwuch żandarmów, to jeszcze nie wszyscy znaleźliby zajęcie. —

Potem ruszyła fala oficerów. Od najmłodszych do najstarszych. W miejscu gdzie weszła w obszar pułkowników rozlała się szerokim strumieniem i płynęła długo, długo . . .

Danuta zbliżyła się do Jerzego:

— Dlaczego pan taki smutny? —

— Nie smutny. Raczej zamyślony. —

— Zamyślony? O czym? —

— Przebiegam myślą przeszłość i bawię się w prokuratora: oskarżam! . . . —

KONIEC

Londyn, listopad 1940 rok.

BIBLIOTEKA UNIWERSYTECKA W Toruniu

Cena
Price 6/-

Powieść "Oskarżam! . . ." została napisana podczas 265 nalotów nieprzyjacielskich. Dnia 7-go września 1940 r. bomba niemiecka zasypała rękopis książki murem, prochem i odłamkami żelaza.

Printed by
F. MILDNER & SONS
Herbal Hill, London, E.C.1

DRUKARNIA MILDNERA
W LONDYNIE

Biblioteka Główna UMK
300050333662

Arch. Emigracji
Biblioteka
Główna
UMK Toruń
1378305

Biblioteka Główna UMK
300050333662